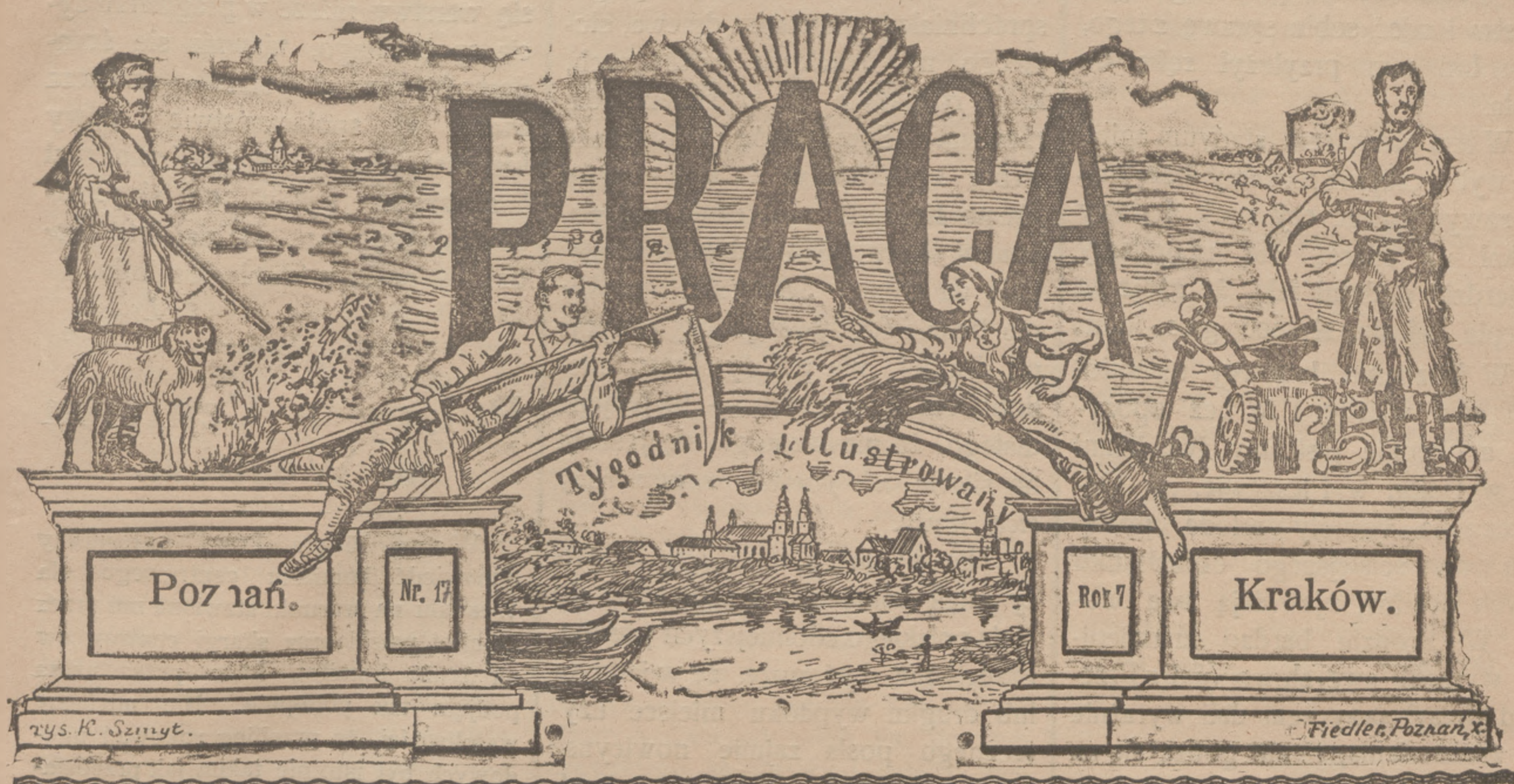
Nr. 17 Poznan, dnia 26 kwietnia 1903 Rok VII



Odezwa.

Wybory do parlamentu niemieckiego naznaczono *na dzień 16-go czerwca r. b.*

Przypuszczać trzeba, że komitety powiatowe w myśl ustaw komitetu prowincyalnego z października r. z. i z marca r. b. przygotowały się należycie do obecnej kampanii wyborczej i czekają tylko hasła, żeby przejść do czynów.

Otóż dzisiejsza odezwa ma być tem hasłem do czynu. Spodziewamy się mianowicie liczniejszych ogłoszeń o wiecach agitacyjnych, które wszędzie są potrzebne, konieczne zaś w tych miejscowościach, w których okolicy znajduje się ludność polska robocza, pozostająca w zależności zarobkowej od obcych chlebodawców. Stwierdzonym jest faktem, że wyborcy polscy tej kategoryi we wielkiej liczbie głosują z obojętności, nieświadomości lub pod przymusem na obcych kandydatów.

Pod tym względem agitacya nasza wyborcza dotychczas *jeszcze bardzo kuleje.* Przeważna część powiatów ogranicza się dotąd do urzędowych walnych zebrań powiatowych i do rozdzielania kartek wyborczych. Przy takim sposobie agitacyi biorą w głosowaniu udział tylko już uświadomieni wyborcy. *Całe zastępy narodowo biernych lub nieuświadomionych pozostają bezczynne, albo stają się powolnem narzędziem w rękach obcych agitatorów.*

Chwalebnym wyjątkiem i wzorem prawidłowej agitacyi wyborczej był w r. 1900 przy wyborach uzupełniających do parlamentu niemieckiego *okręg międzyrzecko-babimojski*, gdzie dzięki dzielności kilku ludzi dobrej woli rozwinięto taki ruch wyborczy, jakiego u nas na ogół biorąc, jeszcze nie było.

Za tym przykładem okręgu międzyrzecko-babimojskiego powinny teraz pójść wszystkie powiaty.

W braku sił miejscowych do przeprowadzenia takiego ruchu wyborczego, trzeba się starać o pomoc, a komitet prowincyalny chętnie podejmie się wszelkiego pośrednictwa.

W sprawach wyborczych służy osobiście informacyami sekretarz Komitetu codziennie od 4 do 5 po południu w swojem mieszkaniu, przy ul. św. Marcina 57.

Komitetom powiatowym przypominamy, żeby wcześnie zawezwały wyborców i mężów zaufania do pilnego przeglądania spisów wyborczych.

Podajemy dalej do wiadomości, że *walne zebranie delegatów*, mające mianować kandydatów poselskich, *odbędzie się w Poznaniu, dnia 26-go maja r, b.* Aż do tego czasu muszą się wszędzie odbyć walne zebrania powiatowe, a protokóły winny być przysłane na ręce sekretarza Komitetu prowincyalnego.

Poznań 20 kwietnia 1903.

Prowincyalny Komitet wyborczy na W. Ks. Poznańskie.
Ks. dziekan Antoniewicz, prezes.
Stefan Cegielski, wiceprezes. *Dr. Krysiewicz,* sekretarz.
M. Więckowski, skarbnik.
Julian Brzeski. Dr. Antoni Chłapowski. Dr. T. Szułdrzyński.

Głos ludu.

W tej chwili, gdy interes życia publicznego ogniskuje się w przygotowawczej akcyi do wyborów, odsłaniającej prądy przenikające naszą społeczność, wytężamy wzrok, by dopatrzeć się przejawów świadomości narodowej i dojrzałości obywatelskiej w tych warstwach, które piastują w swych rękach przyszłość polskości pod zaborem pruskim. Szukamy odpowiedzi na pytanie, czy i o ile ruch ludowy rozrasta się.

Dość dawno przestało być tajemnicą, że Bismarck srodze się pomylił poczytując li tylko szlachtę i duchowieństwo za filary polskości. I Niemcy zrozumieli, iż po za naszą inteligencyą podnoszą się potężne wały obronne. Jednakże w porównaniu z nadziejami, do jakich upoważniała nas samoistna, narodowa działalność wychodźców naszych w Westfalii, w obrębie Księstwa i Prus daremnie szukaliśmy dobitnych objawów samodzielności u ludu. Tłumaczy się to tem, że w Westfalii lud jest pozostawiony sam sobie tak, iż występy jego na arenie politycznej idą wyłącznie na jego rachunek, podczas gdy u nas

gdzie wszystkie warstwy splatają się w jedno ciało, trudno zróżniczkować działalność poszczególnych warstw i zdać sobie sprawę z tego, o ile lud sam przyłożył rękę do dzieła.

W tem pierwszem stadyum agitacyi wyborczej nie możemy oczywiście zawyrokować czy ruch ludowy zyskał na siłach, ale pragniemy stwierdzić dodatni fakt, że zaraz na wstępie dał się słyszeć głos ludu.

W Poznaniu ludowcy ugruntowali swą władzę, i to bez opozycyi, a obecnie jesteśmy świadkami jak w Buku, w Pleszewie, w Ostrzeszowie żywioły młode pociągają do ściślejszego obrachunku swych posłów, ujawniają swą wolę. W Srodzie bardzo znamiennie wyrzekli swe słowo (patrz Przegląd prasy) przyczem dali wyraźnie do zrozumienia, iż nie godzą się na dawne zasady taktyki parlamentarnej, lecz życzą sobie, aby ich przedstawiciel wyjmował swe mowy z serca uciemiężonego społeczeństwa.

A cóż opozycya? Stronnictwo „Kuryera“ prowadziło podjazdową wojnę przeciwko posłowi Głębockiemu i podobno nosiło się z myślą wysadzenia „ostrego“ mówcy z okręgu średzkiego. Inni „poważni“ politycy wyklinają raz po raz ludowców jako „radykałów“, straszą ogół Wszechpolakami i nawołują do zgody, jakby tego zachodziła w Księztwie potrzeba poczytując każdy głos ludu za objaw niezgody. Wszystko wszakże kończy się na przycinkach, wycieczkach i zamiarach, a po za tem kryje się zupełny brak animuszu. Pomiędzy posłami zaś objawia się zniechęcenie, popłoch. Kilku ustąpiło, nie godząc się na nowy porządek rzeczy, innym duszno, więc znalazł się nawet poseł polski, który pragnie czmyhnąć do obozu centrowego! Przywykli do błogosławionego pokoju, uważają oni senną ciszę za stan prawidłowy i znak zdrowia i nie mogą pogodzić się z faktem, że tak jak życie wogóle życie polityczne i parlamentarne jest — walką. Całe to grono zakapturzonych ugodowców, zwolenników dyplomacyi i służby u centrum robi wrażenie zakrzepłego, spróchniałego wewnątrz drzewa, stojącego na kruchych podstawach, które rozpadnie się za silnem uderzeniem. Sprężystość i pewność siebie ugodowców i tutti quanti równa się zeru; oni czują się pokonani skoro tylko ludowcy występują na arenę. Jeżli ruch ludowy nie będzie zdobywał jednej pozycyi po drugiej, nie położy kresu niedobitkom ugodowym — to jedynie dlatego, że nie wzmógł się jeszcze na siłach, *nie posiada samowiedzy swej mocy*.

Nie wynika z tego, aby ludowcy mieli koniecznie wprowadzić do Koła polskiego zdolniejszych posłów. Przeciwnie, być może, że w jednym lub drugim wypadku miejsce użytecznego posła zajmie nowicyusz bez kwalifikacyi. Błędy są nieodzowne w trakcie przeobrażenia społeczeństwa. Ale dość, że ruch ludowy obali kilka słomianych wielkości i drewnianych bałwanów, że oczyści atmosferę z miazmów stęchlizny i wyłączności, rozbije kółka wzajemnej adoracyi, dość, że wywalczy dla młodych sił przystęp do steru naszych spraw publicznych i — przeprowadziwszy swą wolę — zyska na samodzielności. Jakim bądź będzie skład przyszłego koła polskiego w parlamencie — warstwy nasze będą miały w niem *swoich* ludzi.

Kto nie z ludem — ten przeciwko ludowi! — pod tem ogólnikowem hasłem toczy się dziś walka ludowców z ludźmi „ładu i porządku“ dawnego. Ruch ludowy nie posiada ściśle określonego programatu, który zamyka się jedynie w słowie: interes ludu, jak to ujawniło się w kwestyi cel. Zresztą dał on dymisyą dyplomacyi ugodowej, taktyce wieszania się centrowcom i przemawiania pokornym tonem, żąda natomiast szczerości w postępowaniu, samodzielności Koła polskiego i — energii.

Dziwić się nie można, że program ruchu ludowego nie przybrał więcej konkretnej formy. Tylko doktryner polityczny mógłby chcieć narzucić mu gotowy szablon. Stan obecny jest prawidłowym: podnoszą się warstwy niższe w pragnieniu życia społecznego, ujawnia się świadomość nowych potrzeb, zaznacza zwrot w społeczeństwie i nowy kierunek. Przyszłość urobi materyał i z czasem wyłoni się skrystalizowany program. Dzisiaj o to chodzi, by rozbrzmiewał głos ludu.

Lector.

Polacy a Centrum w Westfalii.

W num. 15-tym „Pracy“ ogłosiliśmy odpowiedź komitetu centrowego dla Westfalii na warunki stawione mu przez komitet polski oraz skargi centrowców na tenże komitet, które prasa nasza podjęła tak pohopnie. Nie mieliśmy wątpliwości, że przebieg rokowań ugodowych był istotnie takim jak przedstawił go komitet centrowy w wzmiankowanem piśmie i na podstawie tego, wyraziliśmy nasze zapatrywanie o akcyi Polaków.

Okazuje się wszakże, że rzecz nie zupełnie tak się miała jak głosili centrowcy bochumscy. Delegaci bowiem „głównego wyborczego komitetu polskiego“ nadesłali nam obszerne sprostowanie i ze swej strony przedstawili przebieg wspólnej narady w Bochum. A „Wiarus Polski“ zarzuca centrowcom brak szczerości w postępowaniu przytaczając na dowód, że gdy dnia 29 marca centrowy komitet układał się z Polakami, w tym samym czasie p. Lensing zwoływał do Dortmundu Polaków na własną rękę, aby ich nakłonić do głosowania na centrowca. W przeszłym tygodniu znów p. L. urządził dwie schadzki, na które przywołał Polaków. Na zebraniach tych namawiano Polaków, by *nie stosowali się do uchwały komitetu polskiego*, lecz utworzyli komitet samozwańczy i agitowali za centrowcem. Równocześnie jednak starano się nawiązać na nowo stosunki z komitetem głównym.

Z tego okazuje się, że Niemcom chodziło o rozdwojenie Polaków i przeciągnienie ich na stronę centrum.

Z postępowania centrowców wynosi „Wiarus“ wrażenie, że nie chodziło im szczerze o kompromis z Polakami, lecz siali niezgodę, ufni w przymierze z prasą polską, mając nadzieję, że tak właśnie ich starania jak i nawoływanie prasy polskiej spowodują rozbicie solidarności polskiej.

Z przesłanego zaś pisma delegatów dowiadujemy się, że gdy jeden z nich przedłożył panu Lensingowi na konferencyi uchwalone przez komitet polski „żądania“ p. L. nazwał je ironicznie „utym jadłospisem,“ a „lica pewnych centrowców rozjaśniły się niezbyt sympatycznie“.

Nastąpiła dłuższa dyskusya.

Pan Münstermann, redaktor „Gelsenkirchener Ztg“. zaznaczył, że dyskusyę z Polakami możnaby prowadzić przez dwa tygodnie bezowocnie.

Pan Wojciechowski: Sądzę, że pod względem lepszej opieki duchownej polskiej wiele mogłoby uledz zmianie na lepsze. Tak do Wanne licznej osady polskiej, mogłyby się dwa razy tygodniowo zjeżdżać z pobliskich osad polskich dzieci polskie, byłoby ich z 200, tylom przecież możnaby udzielać nauki przygotowawczej w języku polskim. Nie stanowiłoby to wielkich trudności, gdyby na takie miejsca zjeżdżał ksiądz dobrze władający językiem polskim. Zresztą podzielam zdanie p. Münstermanna, że dyskusya z nami mogłaby właśnie w sprawie opieki duchownej trwać dwa tygodnie, tyle jest kwestyi do omówienia. Zapytuję się przeto panów, czy w imieniu swej partyi godzi się na żądania Polaków ryczałtem?

Wszyscy mężowie zaufania centrum: nie możemy.

Pan Wojciechowski: Rozumiem, a więc punktem pierwszym żeśmy się załatwili. Teraz zachodzi pytanie, co partya centrowa może lub chce przyobiecać i dotrzymać Polakom, czy stanowisko partyi centrowej wobec Polaków nie ulegnie zmianie żadnej lub jakiej? Proszę spisać protokół, aby delegaci mogli go przedłożyć reszcie komitetu głównego.

Centrowcy; Dyskusyi z Polakami chcemy, dlaczego nie mamy z nimi wszelkich spraw wpólnie omówić?

Pan Wojciechowski: Nie widzę racyi w tem, aby Polacy brali udział w dyskusyi, co partya centrowa Polakom w zamian za poparcie przy wyborach zechce przyobiecać. To przecież centrowców rzeczą. Polacy swe życzenia przedłożyli. Proszę spisać ze swej strony rezolucye, aby delegaci polscy mogli je przedłożyć reszcie komitetu. Możeby też z pośród siebie wydelegowano kogo z temi spisanemi rezolucyami na zebranie całego komitetu głównego polskiego.

Nie przychylono się do tych wywodów.

Zaczęła się dyskusya bardzo ożywiona. Z strony polskiej przemawiali jeszcze panowie: Kubiak, Wilkowski, Franka, Janowski, Regulski i inni. Wymawiano partyi centrowej, że pośrednio przyczyniła się do pomnożenia milionów na komisyę kolonizacyjną, że w swych podrzędniejszych gazetach przestępców Polaków stawiano jako typ polski, skarzono się na braki opieki duchownej polskiej, twierdzono, że centrowcy mogą się zgodzić na żądanie Polaków, chociaż przez to zadrasną coprawda ambicyę pewnych katolickich hakatystów.

Z strony stronnictwa centrowego przemawiali pp.: Lensing, Loechtermann, Münstermann oraz inni. Polacy jako katolicy powinni centrowców popierać w ich ciężkiej walce z wrogiem religii katolickiej, liberałami, którzy, jak słusznie gazety polskie i inne piszą, są Polaków największymi wrogami. Gazety polskie dobrze radzą Polakom we Westfalii, aby wspierali rzecz centrum. Że są i katoliccy hakatyści, to prawda, ale czyż wszyscy katolicy niemieccy należą do partyi centrowej? Hr. Ballestrem nie powiedział, że Polaków trzeba bić, nie wyrażając się trywialnie, po pewnej części ciała. P. Lensing ma słowo honoru od posła ks. dr. Jażdżewskiego, że nie winił posłów centrowych za nieobecność podczas głosowania nad pomnożeniem funduszu komisyi kolonizacyjnej. Centrowcy w tutejszych okręgach nie mogą przyjąć żądań Polaków. Nie mogą też wpływać na centrowe komitety wyborcze na wschodzie, tamby ich wyśmiano, gdyby im ztąd zrobiono propozycyę zrzeczenia się naprzykład kandydatur na Górnym Ślązku. Słowem, Polacy winni, jak im tak wiele gazet polskich słusznie radzi, wspierać zawsze i wszędzie sprzymierzonych sobie katolików w walce z wspólnym sobie przeciwnikiem.

W końcu zrobiono ze strony polskiej centrowcom pewnym, w rachubę wchodzą panowie Lensing i Wulff z Dortmundu, zarzut, że układaja się dzisiaj z komitetem polskim, kiedy w Dortmundzie *na dzisiejszy dzień zaproszono na poufne zebranie także Polaków, aby, rzecz jasna, odstręczyć ich od własnej organizacyi polskiej a zdobyć dla partyi centrowej*. Na co, jako dowód, karta z zaproszeniem.

Centrowcy doniosłości tego zarzutu zrozumieć nie mogli, czy też nie chcieli.

Pan Lensing bez wielkiego skonsternowania się odparł, że nie rozumie, jak można mu z tak błahej przyczyny czynić zarzut? Na poufne przedwyborcze zebranie może on nietylko Polaków, ale i socyalistów oraz wpływowych przedstawicieli innych partyj spraszać, kto mu to może zakazać? — Głosy kilku centrowców: „Dlaczego Polacy i nas nie zapraszają na swoje zebrania przedwyborcze?“

Część delegatów polskich żegna przedstawicieli centrowych. Pozostała część słyszy od centrowców drwiny, że agitacya partyi polskiej zrobi fiasko, ósma część Polaków nie będzie, tak jak rzeczy obecnie stoją, głosować na kandydata swego, lecz centrowego. Kiku delegatów polskich gromko odparło: zobaczymy! Poczem reszta opuszcza salę.

* * *

Tyle sprawozdanie delegatów komitetu polskiego.

Inaczej rzecz wyglądała w świetle referatu komitetu centrowego, ale nie zmienia to jądra rzeczy i nie może wpłynąć na zmianę naszego poglądu o postępowaniu Polaków, który wypowiedzieliśmy w ostatnim numerze.

Obecnie o to chodzi, aby Polacy w Westfalii dowiedli centrowcom, że umieją być solidarnymi. Wszyscy jak jeden mąż powinni stanąć pod swym sztandarem i głosować zgodnie z uchwałą swej władzy wyborczej na rodaka.

Ordon.



Listy Galicyjskie.

***Kraków*, 21 kwietnia.**

(Pogłoski o ustąpieniu namiestnika. — Uroczystość 109-tej rocznicy powstania ludu warszawskiego pod wodzą szewca Kilińskiego. — Niebohaterskie czyny policyi.)

Ustąpi — nie ustąpi. Na dwoje babka wróży; od dawna pojawiają się sporadycznie pogłoski o blizkiem ustąpieniu namiestnika hrabiego *Pininskiego* i znowu zamierają. Ale tym razem tkwi w nich więcej niż jedno ziarno prawdy i chociaż nie zaraz, hrabia Piniński złoży swój urząd zapewne w ciągu tego roku. Niewątpliwie mamy w nim człowieka niepośledniej inteligencyi, wybitnego prawnika, Europejczyka, a nawet Ateńczyka w całem tego słowa znaczeniu, ale — „panienkę“ jak go nazywają w kołach towarzyskich dla delikatnego wyglądu, urzędnika bez inicyatywy.

Po wniesieniu znanej interpelacyi Daszyńskiego w parlamencie wiedeńskim — głoszą wieści — hr. P. nadesłał pismo do dra Koerbera z wymówkami, że ani prezydent ani nikt z Izby nie odpowiedział na interpelacyę. Dalej oświadczył hr. P., że wobec takiego traktowania nie może dłużej pozostać w urzędzie namiestnika. Wersya ta nie brzmi całkiem prawdopodobnie, lecz być może, że hr. P. „znużony“ skorzystał z tej sposobności, by uwiadomić dra Koerbera, z którym nie stoi na bardzo dobrej stopie, o swym zamiarze usunięcia się, Dość, że dr. Koer-

fer miał przedstawić cesarzowi na następcę hrabiego P. — hr. Kazimierza Badeniego, według innych marszałka hr. Andrzeja Potockiego. Nadto jako kandydatów wymieniają wielce niepopularnego w kraju Dawida Abrahamowicza, oraz ordynata przeworskiego ks. Andrzeja Lubomirskiego, nie posiadającego odpowiednich kwalifikacyi. Co się tyczy kandydatury ex-premiera hr. Badeniego wiedeńska „Neue Freie Presse“ twierdzi, że jest ona wykluczoną, bo hr. B. nie należy do tych upadłych mężów stanu, którzy zmartwychwstają. I tak jest w istocie.

Sprawa nie nagli, bo hr. Pininski nie zaraz pożegna się z namiestnikostwem, aby to nie wyglądało jakoby nie ustępował pod presyą Daszyńskiego i jego napaści na rodzinę Pininskich.

Wczoraj młodzież rękodzielnicza lwowska obchodziła piękną uroczystość, która jednakże nie przeszła bez burzy, bez nadużyć ze strony niekiedy zbytnio gorliwej policyi.

Dzień 20 b. m. poświęciła młodzież pamięci bohatera — rękodzielnika *Jana Kilińskiego*, który w r. 1794 prowadził lud warszawski do walki za oswobodzenie Ojczyzny z pod jarzma najeźdźców. Po nabożeństwie, w którem prócz cechów z chorągwiami uczestniczyły tłumy, po odśpiewaniu choralnem: „Z dymem pożarów“ — odbył się w ratuszu poranek ku uczczeniu pamięci bohatera. Przemówienia przeplatały śpiewy. Mówcy podnosili hasła równości i braterstwa rzucone w okresie kościuszkowskiej rewolucyi a jeden z nich wzywał w myśl Asnyka:

„Nie przestańmy czcić świętości swoje
„I przechowywać ideałów czystość;
„Do nas należy dać im moc i .....
„By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość“.

Pod wieczór zebrały się tłumy w parku Kilińskiego wkoło pomnika tegoż, który iluminowano wspaniale. Ale musiała się zjawić policya! poczęła ona barykadować ulicę wiodącą do — konsulatu pruskiego, o którym nikt nie myślał. Na widok policyi poczęły się świsty, następnie część młodzieży pobiegła do pomnika Kornela Ujejskiego, gdzie policya poczęła ją rozpędzać. Tłum oburzony niewytłomaczonem barykadowaniem ulic i manewrami policyi udał się przed pomnik Sobieskiego ale, zaledwie tu rozpoczął śpiewać, znowu zjawiła się policya. Wreszcie garstka niedorostków zebrała się przed pomnikiem Gołuchowskiego, ale wnet rozbiegła się, wszelako policya poczęła rozpędzać spokojną publiczność i niewinnych gapiów w pobliżu i to *pięściami* i wrzaskami. Co miało znaczyć to roztrącanie i bicie niewinnych, szerzenie paniki wśród kobiet i dzieci — to tylko wiadomo sławetnej policyi lwowskiej.

Galicyanin.

Z TYGODNIA.

Sejm pruski rozpoczął swe posiedzenie na nowo dnia 21-go b. m., a odroczy się podobno w pierwszych dniach maja. Przez ten czas ma do załatwienia cały szereg mniej lub więcej doniosłych spraw najprzeróżniejszej natury.

Pomiędzy innemi sejm zajmie się projektem stojącym w związku z akcyą komisyi kolonizacyjnej, a mianowicie ustanowieniem *reprezentacyi fiskusa w sejmie prowincyonalnym W. Ks. Poznańskiego* i innych sejmach powiatowych.

Jeszcze krótszą będzie ostatnia sesya *parlamentu*, który prócz kilku drobnych spraw zajął się świeżo *zmianą regulaminu wyborczego*, by zgodnie z życzeniem agraryuszów zapewnić wyborcom tajemnicę przy urnie wyborczej. Agraryusze niemieccy robią tę koncesyą na rzecz ludu i zamierzają przechwalać się z tego powodu przed wyborcami, ale ustawa ta nie wyjdzie na ich korzyść.

Dla nas, Polaków, niemały urok posiada *Irlandya*, kraj dzielnych Celtów, którzy pomimo kilkowiekowej niewoli piastują ideał narodowościowy i walczą o swe prawa niezłomnie. Los Irlandczyków porównują często z losem Polaków acz niesłusznie, bo zwłaszcza dzisiaj położenie ich w porównaniu z naszem jest nieskończenie lepszem, a wszystko przemawia za tem, że Zielona wyspa — jak nazywają Irlandyą — jest w przededniu dopięcia swego celu to jest samorządu.

Głównym powodem niezadowolenia ludności irlandzkiej była sprawa własności ziemskiej. Ziemia w Irlandyi znajduje się w posiadaniu lordów angielskich, a ludność krajowa, żyjąca na niej tytułem dzierżawy, była dawniej zmuszaną do płacenia bardzo wysokich czynszów. Wskutek tego przychodziło do waśni, sporów sądowych, a nawet rozruchów, które pogłębiały rozdwojenia i nienawiść do Anglików. Cały ruch irlandzki rozwijał się na tle ekonomicznem oraz na tle religijnem. Wprawdzie w ciągu ostatnich lat zaprowadzono wiele ulg, bo rząd angielski widział, iż rzeczy dalej nie mogą pójść tym trybem, że kraj ubożeje i wyludnia się przez emigracyą do Ameryki, więc parlament angielski wyznaczył znaczne kwoty na Irlandyą, którą dawniej ssał. Mimo to stosunki nie zmieniły się zasadniczo, bo gdy dozwolono dzierżawcom nabywać ziemię na własność, tylko w wyjątkowych razach mogli oni z tego korzystać. Bez czynnej i racyonalnej pomocy państwa o rzeczywistej naprawie stanu rzeczy w Irlandyi nie mogło być mowy. Irlandczycy domagali się tego dawno. Gladstone próbował zadośćuczynić ich życzeniom i nadać nawet samorząd Irlandyi, lecz bezskutecznie. Dopiero teraz zaświeciła gwiazda Irlandczykom, a to z tej przyczyny, że rząd złożony z torysów czyli konserwatystów i liberalnych ministrów z Chamberlainem na czele jest w opałach i przy wyborach grozi mu klęska. Chodzi mu przeto o przeciągnienie Irlandczyków na swą stronę oraz o odebranie opozycyi podstawy przez ustawę czysto liberalną. Konserwatyści angielscy zawsze byli tyle mądrzy, iż kiedy widzieli, że postulat jakiś opozycyi staje się rzeczą nieuniknioną, sami go przeprowadzali i dzięki temu stronnictwo zachowawcze w Anglii utrzymywało się u steru rządów, a piastując rządy, dokazywało nie małych rzeczy. Tak ma się rzecz w tym wypadku.

Parlament angielski uchwalił *100 milionów funtów szter.* czyli 2000 mil. marek na wykupno gruntów w Irlandyi, do czego dążył Gladstone. Minister dla Irlandyi oświadczył, że rząd chce umożliwić dzierżawcom nabywanie ziemi przez udzielanie im pożyczek na 68 i pół lat. Nadto rząd ma wyznaczyć ze skarbu 12 mil. funtów szter. na zapomogi *bezzwrotne* nadzwyczajne, aby podnieść stan rólnictwa i zapobiedz tłumnemu wychodźtwu.

Twórcą tego projektu zdaje się być minister kolonii, wszechpotężny dziś mąż stanu p. *Chamberlain*, ongi poplecznik, potem antagonista Gladstone'a, który obecnie podejmuje projekty swego wielkiego mistrza. A panuje przekonanie, że uchwalony land-bill irlandzki wyda jedynie wtedy oczekiwane owoce jeżli Zielona wyspa otrzyma także *samorząd*. Wszystko wskazuje na to, że niedługi czas dzieli już Irlandyą od godziny, w której otworzy się parlament w Dublinie.

Wielki *strejk w Holandyi* smutny wziął koniec. Robotnicy ponieśli podwójną klęskę raz przez to, że strejk rozbił się wskutek braku sił i pozbawił wielu kawałka chleba, a powtóre, że izba uchwaliła ustawę antystrejkową, naznaczającą dotkliwe kary, grzywny i więzienie na organizatorów strejku kolejowego. Surowa ta uchwała nie byłaby nigdy pozyskała większości głosów w izbie, gdyby strejk nie był przybrał tak szerokich rozmiarów i wywołał paniki. Jeżeli zważymy, że równo-

łaśnie ogólne bezrobocie w rzymsk[...]niemnej strejk w Budapeszcie zakończyły się klęską, dojdziemy do wniosku, że strejk ogólny jest wogóle bronią obosieczną i nie powinno go się lekkomyślnie nadużywać w celach politycznych.

Wskutek zawieruchy w *Macedonii* Turcya znalazła się w bardzo trudnem położeniu, które pogorszyło jeszcze morderstwo konsula rosyjskiego, Szczerbiny w Mitrowicy. Rosya zażądała nietylko surowszej kary dla mordercy, ale bardzo wysokiego odszkodowania dla rodziny konsula, a nadto domaga się, aby sułtan wysłał 20 tys. żołnierzy do Starej Serbii celem wzięcia w kluby Albańczyków. A pewien wpływowy Rosyanin pisze w swej gazecie, że gdyby sułtan nie uczynił zadość żądaniom cara, Rosya powinna zająć swem wojskiem Nowy Bazar (w Starej Serbii). Turcya bardzo niechętnie wymierza karę na mordercę Szczerbiny, gdyż należy on do Albańczyków wyznania muzułmańskiego, oddanych sułtanowi duszą i ciałem i zażywających wielkich swobód. A tymczasem ze strony tych Albańczyków niemniej jak ze strony Macedończyków grozi niebezpieczeństwo powstańcze. Gdyby bowiem sułtan idąc za głosem mocarstw ukrócił ich swobody, wpośród Albańczyków wzięły-by górę te żywioły, które pragną z pomocą Włoch utworzyć niezależne państwo albańskie nad brzegiem Adryatyku. Kwestya albańska zatem jest dla Turcyi donioślejszą od macedońskiej.

Ale i *Macedończycy* nie są wcale skłonni do złożenia broni. Nienawiść ich do wyznawców proroka przybiera nieraz okrutne formy i tak z pomocą zbiegów bułgarskich wycięli w pień wioskę zamieszkałą przez ludność muzułmańską, przyczem dopuszczali się strasznych okrucieństw, ćwiartując i wbijając kobiety na pale. Z okolicy Monastyru donoszą, że pożary, rozboje, gwałty i krwawe bójki są na porządku dziennym. Mimo to w Konstantynopolu panuje mniemanie, że wojskom wysłanym do Macedonii uda się zatamować powstanie i zapobiedz ogólnemu ruchowi zbrojnemu, projektowanemu przez rewolucyjne komitety macedońskie. Podobno komitety nie rozporządzają dostatecznymi funduszami, więc — dyplomaci liczą na to, że rozboje i rozruchy nie potrwają dłużej nad dwa miesiące. Wiele nadziei pokładają też w świeżo zamianowanym wodzu tureckim, marszałku Omer Rudżi baszy.

W Maroko pretendent do tronu rośnie znowu w potęgę i zagraża sułtanowi. Bu Hamara wystosował nawet do sekretarza sułtańskiego dla spraw [za]granicznych pismo, w którem domaga się okrzyknięcia go sułtanem. Liczy on na to, że mocarstwa nie będą się sprzeciwiały, aby zasiadł na tronie.

Prezydent *Loubet* doznaje w Algieryi iście królewskiego przyjęcia, tymczasem król angielski wybiera się do Włoszech, zaprzyjaźnionych z Anglią. Czy król Edward odwiedzi w Rzymie Ojca św. nie jest jeszcze pewnem. W pierwszych dniach maja stanie „w wiecznem mieście“ cesarz Wilhelm.

Znowu obiegają pogłoski, że *niemiecki następca tronu* poślubi księżniczkę Aleksandrę, córkę księcia Kumberlandzkiego. Cesarz Wilhelm ma w jesieni odwiedzić księcia w Gmunden — zapewnia pewien organ hanowerski, lecz z Wiednia kategorycznie temu zaprzeczają. I w istocie wątpić można, czy nieprzejednany wróg Prus da się przejednać i zgodzi oddać córkę synowi cesarza Wilhelma. Z drugiej strony w Berlinie oferty królewskie i rządowe nie są skłonne do wyznaczenia księciu kumberlandzkiemu „takiej pozycyi, do jakiej jako pretendent do Hanoweru i niemiecki książe związkowy rości sobie prawo.“ Że książe ani na krok nie myśli ustąpić, okazało się z tego, iż przed przyjazdem cesarza Wilhelma wyjechał z Kopenhagi. Wszystkie zatem wieści o blizkiem porozumieniu się dworu berlinskiego z Welfami kładziemy pomiędzy bajki.

X. Y. Z.



Przegląd prasy.

Jak było do przewidzenia, po Świętach zapowiedziano w gazetach szereg *wiecow przedwyborczych*. Zaiste — największy czas! Wykładanie list wyborczych do parlamentu niemieckiego ma się rozpocząć według rozporządzenia ministeryalnego *od poniedziałku dnia 18 maja*. Każdy uprawniony do głosowania winien przekonać się, czy nazwisko jego figuruje na liście, a aby każdy obywatel świadom był swego obowiązku — rozległa agitacya jest nieodzowną. Wobec zaś wagi, jaką przywięzujemy do aktu wyborczego w naszem położeniu, wszystko co się robi w tym kierunku nie jest w naszych oczach wcale jeszcze wystarczającem. Na wiecach w pomniejszych miasteczkach ujawnia się brak wypróbowanych mówców i lista zapowiedzianych zebrań jest o wiele za małą. Można-by oczekiwać, że aż do dnia wyborów w każdym powiecie *co niedzielę* odbywać się będą pouczające zebrania, raz w tej, raz w owej miejscowości, a posłowie nasi, poczuwając się do pracy agitatorskiej w swych okręgach, częściej i pobop[...]niej pojawiać się będą przed wyborcami. Co się tyczy agitacyi wyborczej bardzo wiele musimy się jeszcze nauczyć. Do tego samego przekonania przychodzi „*Dzien. Berl.*“ i porównując agitacyę wyborczą u nas z świetną agitacyą socyalnych demokratów, pisze między innemi:

„Wolimy się nie pytać skarbnika Prow. Komitetu wyborczego w Księstwe, ile ma pieniędzy w swojej centralnej kasie w przededniu wyborów, bo za liczbę przez niego podaną musiałoby właściwie społeczeństwo nasze okryć się rumieńcem wstydu.

„Brak należycie zorganizowanego funduszu wyborczego sprawia, że agitacya wyborcza odbywa się *u nas bez programu i bez należytego pogłębienia we wszystkich szczegółach*. Rezultat jej zależnym jest od dobrej woli i ofiarności gorliwszych i ofiarniejszych jednostek.

„Nie jesteśmy zwolennikami niemieckiej socyalnej demokracyi, ale mamy wielki podziw i cześć dla ogromnej ofiarności jej członków i dla bajecznej wręcz pracowitości jej przywódców i agitatorów.

„Dla naszego posła znaczy mandat poselski z nielicznemi wyjątkami wypoczynek 5 letni, dla socyalistycznego 5 lat *intensywnej pracy*, nie tylko tu w Berlinie, ale *przedewszystkiem w jego okręgu wyborczym*. W obozie socyalistycznym nie mógłby się szczycić poseł, jak to uczynił pewien poseł polski, (ks. prał. Jażdżewski) że w jego okręgu przez 5 lat nie było zebrania politycznego, bo by on za to *„wyleciał z partyi.“*

A u nas? — Nie tylko nie wymaga się od posłów, aby przyłożyli rękę do agitacyi, ale dwa wielkie poznańskie organy nie mają słówka nagany, gdy jeden z nich ma ochotę dezertować do centrowców!

Otóż — czytamy w „*Dzien. Berl.*“,

„P. poseł hr. *Hektor Kwilecki* napisał urzędowy list do Prowincyonalnego Komitetu wyborczego, w którym donosi, że mandat jego skutkiem postawy Niemców-katolików jest poważnie zagrożony i że możnaby go uratować tylko wtedy, gdyby on nie kandydował pod firmą Prow. komitetu, tylko jako kandydat Centrum. W takim razie istniałaby pewność, że wszyscy Niemcy-katolicy na niego głosy swe oddadzą. Pan poseł prosił, żeby Prow. komitet wyborczy objawił swoją opinię w tej sprawie, ewentualnie propozycyą jego wziął pod rozwagę.

„Na to otrzymał od niego jedynie trafną i słuszną odpowiedź, że Prowincyonalny Komitet wyborczy założony został i istnieje w tym celu, żeby przeprowadzać posłów polskich, a nie centrowych i że gdyby osoba jego, posła Kwileckiego, miała być jakąkolwiek przeszkodą w przeprowadzeniu należytej akcyi wyborczej w okręgu skwierzyńsko-międzychodzko-obornicko-szamotulskim, niechaj o tem doniesie komitetowi, który w takim razie *musiałby się obejrzeć za innym kandydatem.*“

Gdyby „Dzien. Berl.“ nie zapewniał, że wiadomość tę czerpie z „absolutnie

pewnego źródła," trudno-by dać jej wiarę, bo niepodobno przypuścić, aby poseł polski chciał przejść do stronnictwa centrowego. Słusznie pisze organ berliński:

„Nader smutne wrażenie sprawia ta dobrowolna kapitulacya na rzecz Centrum, projektowana przez posła, który należał do najbierniejszych członków naszego Koła parlamentarnego. Maluczko a odezwą się różne *słabe dusze* z żądaniem, żebyśmy dla „miłej zgody" z Centrum na zawsze zrezygnowali i z okręgu wschowsko-leszczyńskiego i międzyrzecko-babimojskiego, wogóle z okręgów kresowych, w których żyje znaczniejsza liczba Niemców-katolików. Czyż hr. Hektor Kwilecki nie widzi, że ta dobrowolna kapitulacya najwięcej by się przyczyniła do dzieła zniemczenia naszej ludności na kresach?"

Zdawałoby się, że nie znajdzie się polskie pismo, które pochwaliło-by niefortunny projekt posła Kwileckiego. A jednak „*Kur. Pozn.*" pochwala myśl tę półgębkiem, pisząc:

„Teraz zapewne rozbiją się głosy, a Niemcy katolicy, których tam bardzo wielu, ulegną prędowi rządowemu i własnego postawią kandydata. Rezultatem tego będzie, że hakatyzm nowy święcić będzie tryumf. Wstyd to niewątpliwie przynosi niemieckim katolikom z okręgu wyborczego hr. Kwileckiego, ale równy wstyd (?!) polskim krzykaczom, którzy pustą wrzawą i demonstracyami jak n. p. obecne sprawy westfalskie przyczyniają się do rozjątrzania (!) centrowców a tem samem do utraty mandatów rzeczywiście w polskiem ręku będących."

Jest to pyszny wyskok mózgownicy godowca! Polacy nie „jątrzyli" centrowców, a przecież amtskatolicy nie chcą oddawać głosów na posłów polskich, a centrum staje się partyą rządową. Mimo to mamy według „Kuryera" dalej łasić się centrowcom, ba! pozwolić nawet na to, aby polski poseł kandydował jako centrowiec.

Hr. Kwilecki tak się skompromitował, tak jaskrawo wykazał, jak bardzo nie kwalifikuje się na kandydata i posła polskiego, że komitet powinien koniecznie „obejrzeć się za innym kandydatem," a wyborcy w odnośnym okręgu wyrazić *wotum niezaufania* dla hrabiego K. i postawić — nie centrowca języka polskiego — lecz Polaka. Tak się też stanie, jeźli mandat poselski nie jest zawsze jeszcze podarkiem ze strony ludzi „ładu i porządku." Zresztą za hrabim K. nic nie przemawia; nie położył żadnych zasług w Berlinie, a jedynym czynem, którym się *wsławił* (!!) było wzięcie udziału w pogrzebie hakatysty Willicha! Czy takich posłów mamy wysełać do Berlina jako przedstawicieli Polaków? Raczej żadnych!

W okręgu reprezentowanym dotąd przez tego posła wyborcy nie dali dotąd znaku życia. Natomiast w innych ruch ludowy podniósł głowę. O kandydaturę *dra F. Niegolewskiego*, którego ludowcy chcą postawić w Buku w miejsce posła Cegielskiego, toczy się walka w gazetach

„*Kur. Pozn.*" wynosi posła Cegielskiego pod niebiosa i prosi p. dra Niegolewskiego, by zrzekł się kandydatury. „Kuryerowi" odpowiada „Orędownik," że po wysławieniu zasług pana Cegielskiego — jest stanowczo mu przeciwny. Do tego nawięzuje „*Oręd.*" ogólniejsze uwagi pod adresem „odrodzonego" „Kuryera:"

„Według niego, gdy wyborcy polscy, korzystając z prawa, które im solidarność narodowa przyznaje, i wypełniając obowiązek, który na nich uświadomienie i samodzielność myślenia nakłada, pragną na walnych zebraniach dać wyraz życzeniom swym co do kandydata, odrębnego od życzeń „Kuryerowych" — to jest — waśnią wyborczą.

„Pracują wszyscy od tylu dziesiątek lat nad wykształceniem narodowem i politycznem szerokich mas — hasło to rozbrzmiewa prawie co dzień na całej linii, ale w chwili, gdy ta samodzielność obywatelska ma się w legalny sposób ujawnić, zjawia się „Kuryer Poznański" i dekretuje, że jest waśń, a wzorowym jest każdy okręg, w którym tej samodzielności obywatelskiej nie ma."

Szczególny interes budzi też kandydatura posła *dra Dziembowskiego*, bo wyborcy w dwóch powiatach, (które reprezentował wraz z powiatem wrzesińskim), a mianowicie w Pleszewskiem i Jarocińskiem *nie* uznawali go nigdy za swego posła. Z powodu tego pisze „*Orędownik:*"

„Pan dr. Dziembowski lekceważył sobie przed 5 laty dość silną w tych powiatach partyą ludową, mimo swych wielkich talentów brakło mu jednak zmysłu politycznego na to, aby zrozumieć, że podstawa dla ogólnego ruchu ludowego będzie coraz szerszą i że partya ludowa z natury rzeczy będzie coraz więcej na wybory oddziaływała. Przez to zamknął sobie drogę — do ponownej kandydatury."

Nauczkę, która nie powinna iść w las, odebrali nasi ugodowcy na *wiecu w Środzie*. Nie odważyli się oni — jak przewidywaliśmy — nie stawić na kandydata pana *J. Głębockiego*, lecz ponieważ obok niego komitet powiatowy postawił p. szamb. Cegielskiego i konserwatystę p. adw. Wolińskiego — walne zebranie w miejsce tychże wybrało pp. B. Chrzanowskiego i Leona Czarlińskiego i w ten sposób objawiło w obliczu ks. dr. Jażdżewskiego i całej dzielnicy swe tendencye ludowe. Nadto uchwalono znamienną rezolucyą, wyrażającą *uznanie dla posła Głębockiego* tak dla jego stanowiska w Kole i parlamencie jak dla tonu w jakim bronił sprawy polskiej.

Rezolucyi tej gromko przyklaskujemy, bo należało się słowo uznania dla posła, który jest wystawionym na krytykę z powodu swego męzkiego, pełnego godności tonu, — ze strony Kuryerowiczów.

Jak bardzo niemiłą jest ta rezolucya ludziom ładu i porządku wnosić można z tego, że korespondent „*Dzien. Pozn.*" tylko półgębkiem wspomina o tym fakcie, chcąc go zbagatelizować.

W Prusach Zachodnich liczne wiece odbędą się w najbliższym czasie. Nagle Pelpliński „*Pielgrzym*" poczyna wzywać do zgody, lecz „nie do zgody za wszelką cenę" — do zgody rozumnej i uczciwej, która ma oprzeć się na dwóch filarach:

1) Musimy wytworzyć sobie jasny sąd o przyczynach obecnej walki naszej, mianowicie u kogo i w czem były błędy i zła wola;

2) Musimy uczciwie i szczerze usunąć to, co było w nas niezdrowem i zepsutem. Drobne uchybienia można i trzeba wybaczyć i wyrozumiałością chrześciańską pokryć. Cięższe błędy charakteru trzeba stanowczo zwalczać."

Brzmi to pięknie, lecz w gruncie rzeczy znaczy to bodaj tyle, że wszyscy mają się zgodzić na stanowisko „Pielgrzyma"; wtedy bowiem tylko będzie to zgoda „rozumna i uczciwa."

„Orędownik" zauważa, że „byłby to odpowiedni przedmiot dla proponowanego przez p. *Jaworskiego z Lipienek* zjazdu inteligencyi.

Projektowi pana Jaworskiego należy przyklasnąć, chociażby zjazd taki nie miał wywrzeć skutku na zażegnanie burzy w Prusach i doprowadzić do praktycznego wyniku na razie.

Większą sympatyę ogółu powinny budzić najwięcej wysunięte placówki polskie, tonące w falach niemczyzny, a więc Mazury i Warmia. Mazurzy dali znak życia, jak pisaliśmy w zeszłym tygodniu.

W Warmii zaś odbył się wiec dnia 14 bm., gdzie stawiono na kandydatów jak czytamy w „*Gaz. Olsztyńskiej:*"

„Na pierwszem miejscu *ks. prob. Barczewskiego z Brunswaldu*, za którym zebrani jednogłośnie i z wielkiem zadowoleniem się oświadczyli. Na drugiem miejscu postawiono rólnika p. *Jaworskiego z Lipinek*, a na trzeciem miejscu magnata polskiego księcia *Zdzisława Czartoryskiego z Sielca*. Zadokumentowano w ten sposób łączność Warmii z Prusami Zachodniemi i Poznańskiem."

Jakie widoki zwycięztwa ma kandydat polski na Warmii wyłuszcza „*Gaz. Tor.*" dając retrospektywny pogląd:

„Warmia leży w granicach Polski z r. 1772 a mimo to politycy nasi, którzy stoją na zasadzie, że Koło polskie jest reprezentacyą ziem polskich, przyłączonych do Prus od pierwszego rozbioru, pozostawili nawet prawie czysto polską część Warmii Niemcom. Jeżeli były usiłowania zdobycia polskiej Warmii dla Koła polskiego, to tylko bardzo słabe i dorywcze a po utworzeniu frakcyi centrum, która swoją organizacyą także Warmię objęła, zaniechano ich zupełnie.

„Dopiero w r. 1890 sam lud polski zażądał kandydata polskiego. Wtenczas połączyła się Warmia z organizacyą wyborczą zachodnio-pruską i reprezentant jej wstąpił do tamtejszego komitetu prowincyonalnego, który odtąd, jak wiadomo, nazywa się „Komitetem centralnym na Prusy Zach. i Warmię." Kandydatem polskim na Warmii był w roku 1890 rodowity War-

miak, gospodarz p. Franciszek Szczepański z Lamkowa, który prawie bez agitacyi zdobył przeszło 5000 głosów.

„W r. 1893 przyjął kandydaturę ks. prob. dr. Wolszlegier z Dąbrowna i zdobył mandat z Warmii polskiej tj. z okręgu olsztyńsko-reszelskiego, ale w pięć lat później, w r. 1898 uległ zjednoczonym centrowcom, liberałom i żydom, którzy głosowali na kandydata centrowców ks. kanonika, dziś biskupa sufragana Herrmanna. Chociaż także znaczna część ludu polskiego, pod naciskiem księży, głosowała na kandydata niemieckiego, mimo to otrzymał ks. Wolszlegier 5067 głosów, kiedy stronnictwa niemieckie, nie licząc 154 głosów socyalistycznych, oddały centrowcowi razem 9322 głosów. Jeżeli zważy się, że według urzędowej statystyki w całym okręgu na 100 wyborców tylko 59 poszło na wybory, można rezultat ten uważać za względnie pomyślny i niewykluczający nadziei, że utracony przed pięciu laty mandat odzyskamy, gdyż właśnie lud polski, znany z szacunku dla duchowieństwa, nie chcąc wojować przeciw żadnemu z duchownych kandydatów, nie poszedł wcale na wybory. Byleśmy tę część ludu zdołali poruszyć i zagrzać, to zwycięztwo będzie nasze."

Nowy proces wrzesiński, który zawisł nad komitetem wrzesińskim z powodu wrzekomego udziału w ułatwianiu ucieczki Piaseckiej, skazanej na 2 i pół roku więzienia, i Bednarowiczowej, skazanej na rok, do Lwowa, zaciekawia w najwyższym stopniu szerokie koła polskie. Do listy oskarżonych, których jest, jak wiadomo, 12-tu przybędzie jeszcze dwóch to jest członek izby panów p. *Józef Kościelski* i członek izby sejmowej *ks. prałat Stychel*, których prokuratorya nie może powołać przed kratki, dopóki sesya izb pruskich nie jest skończona.

Obrony komitetu wrzesińskiego podjął się *poseł Lenzmann*, słynny prawnik westfalski, członek partyi wolnomyślnej Richtera.

„Poseł Lenzmann wygłosił — przypomina *„Dzien. Berl."* — wspaniałą mowę podczas obrad nad ostatnią interpelacyą Koła polskiego w parlamencie i potępił w bardzo ostrych słowach wyroki sądu toruńskiego i poznańskiego przeciw polskim gimnazyastom i akademikom, rzucając w twarz obecnemu w izbie dyrektorowi sądu toruńskiego, narodowo-liberalnemu posłowi Grassmannowi, zarzut partyjności oświadczeniem, że w jego rodzinnych stronach, w Westfalii, wyrok taki jak toruński wcale nie byłby możliwy. W mowie tej poruszył także obszernie sprawę Loehninga i niemiłosiernie chłostał intrygi kamaryli urzędniczej w Poznaniu."

Z polskich adwokatów wystąpią jako obrońcy poseł dr. Z. Dziembowski, adw. L. Romocki z Poznania i adw. Tomaszkiewicz z Gniezna.

B. M.



Nowy regulamin wyborczy

dla komitetów wyborczych W. Księstwa Poznańskiego.

Artykuł drugi.

Komitety powiatowe.

§ 13. Władzą wyborczą w powiecie jest komitet powiatowy, składający się przynajmniej z tylu członków, ile w powiecie jest miast i obwodów komisarskich; przy wyborze członków każde miasto i każdy obwód komisarski winien o ile możności być uwzględniony.

Wyboru komitetu co pięć lat dokonuje walne zebranie powiatowe, poczem wybrani obierają z pośród siebie:

a) przewodniczącego i jego zastępcę,

b) sekretarza i zastępcę,

c) skarbnika,

i spisawszy z tej czynności protokół, odsyłają go na ręce sekretarza komitetu prowincyalnego wraz z protokółem z czynności walnego zebrania powiatowego.

§ 14. Komitety powiatowe, pozostające w ścisłym związku z Komitetem prowincyalnym, mają obowiązek organizowania i sprężystego przeprowadzenia agitacyi przy wyborach posłów kół polskich w parlamencie niemieckim i sejmie pruskim w swych powiatach i to w myśl regulaminu niniejszego i instrukcyi, otrzymanej od Komitetu prowincyalnego.

W tym celu zobowiązane są Komitety powiatowe utrzymywać dokładną statystykę wyborczą powiatu i organizować agitacyę wyborczą z uwzględnieniem czynników statystycznych. Na żądanie komitetu prowincyalnego mają komitety powiatowe obowiązek przedłożyć mu akta, tyczące się statystyki wyborczej.

Komitety powiatowe zobowiązane są oprócz tego zajmować się także wszelkiemi innemi wyborami jak do sejmu prowincyalnego, sejmików powiatowych, ziemstwa kredytowego, reprezentacyi miejskich i wiejskich, kas chorych i t. d.; do tych jednakże wyborów Komitet prowincyalny (vd. § 3.) nie jest zobowiązany dać inicyatywę, w razie jednak kwestyi spornych zastrzega sobie głos rozstrzygający.

Dalej komitet winien zbierać składki w powiecie na cele wyborcze za pośrednictwem podkomitetów i mężów zaufania i stworzyć stałą kasę wyborczą powiatową.

Kasy Komitetów powiatowych muszą do kasy Komitetu prowincyalnego przekazywać pewną część dochodów, według normy, oznaczonej przez walne zebranie powiatowe.

§ 15. Prezes Komitetu powiatowego zwołuje, ilekroć to uzna za potrzebne, lub ilekroć przynajmniej trzech członków tego zażąda, zebranie Komitetu powiatowego w przeciągu 14 dni. Przewodniczący Komitetu powiatowego ma obowiązek w przeciągu 4 tygodni po dokonanych wyborach, bez względu na ich rezultat, zdać sprawę Komitetowi prowincyalnemu z przebiegu wyborów do parlamentu i sejmu, wskazać na braki organizacyi wyborczej, na uchybienia przeciwko prawom i nadużycia urzędników państwowych.

§ 16. Komitet powiatowy zwołuje walne zebrania przez pisma publiczne, ilekroć uzna to za potrzebne. Obowiązany zaś jest zwołać walne zebrania na każdorazowe wezwanie Komitetu prowincyalnego lub na żądanie przynajmniej 30 wyborców i to w przeciągu 4 tygodni od dnia zawezwania. Na walnych zebraniach przewodniczy z urzędu prezes Komitetu.

Komitetowi przysługuje prawo przedstawienia walnemu zebraniu powiatowemu kandydatów do krzesła poselskiego, również każdemu wyborcy. Wniosek komitetu przychodzi najpierw pod głosowanie. Niewyborcy powiatowemu wolno zabierać głos tylko za zezwoleniem Komitetu.

W miejsce tych członków Komitetu, którzy wystąpili lub umarli, przysługuje Komitetowi prawo przybierania sobie nowych członków z uwzględnieniem § 13 i z zastrzeżeniem potwierdzenia ich przez najbliższe zebranie wyborcze powiatowe.

Artykuł trzeci

Komitety okręgowe.

§ 17. Komitety powiatowe tych powiatów, które tworzą jeden okręg wyborczy, wybierają każdy po trzech członków ze swego grona, z których jeden powinien być prezesem odnośnego Komitetu powiatowego i ci stanowią wspólny Komitet powiatowy. Komitet okręgowy bierze pod rozwagę wszystkie te czynności, które dla całego okręgu wyborczego są konieczne lub pożyteczne.

W Komitecie okręgowym przewodniczy najstarszy wiekiem.

W razie równości głosów rozstrzyga przewodniczący.

Do czynności Komitetów należą:

1) porozumienie się co do kandydatów poselskich, których Komitety mają przedstawić Walnym Zebraniom,

2) obmyślenie wspólnej, w danych

stósunkach najodpowiedniejszej organizacyi wyborczej.

3) przygotowanie wspólnych odezw, druków, karteczek wyborczych itp., które w całym okręgu, mianowicie przed wyborami, w jak największej ilości rozrzucone być powinny.

Powiaty silniejsze winny przychodzić w pomoc słabszym w agitacyi wyborczej.

Artykuł czwarty.

Podkomitety.

§ 18. Komitety powiatowe utworzą w każdem mieście, zwołując o ile możności w niem zebranie i w każdym obwodzie komisarskim, a w razie potrzeby i w parafiach podkomitety, które z pomocą mężów zaufania, wyznaczonych przez Komitet powiatowy, na każdy obwód wyborczy lub przedwyborczy, obejmą i prowadzić będą skuteczną agitacyą wyborczą. Podkomitety w miastach i obwodach komisarskich mają obowiązek zajmowania się wszystkiemi wyborami, wyszczególnionemi w § 14. Prezesem podkomitetów jest członek Komitetu. Podkomitety winny zdawać sprawę z agitacyi wyborczej i wyniku wyborów prezesowi Komitetu powiatowego .

Artykuł piąty.

Walne zebrania powiatowe,

§ 19. Walne zebranie powiatowe wolno zwoływać jedynie Komitetowi wyborczemu powiatowemu w myśl paragrafu 16, z wyjątkiem przypadku w paragrafie 6 przewidzianego i tylko uchwały walnych zebrań powiatowych, w ten sposób zwołanych, mają moc obowiązującą.

§ 20. Na walnych zebraniach powiatowych, na których Komitet powiatowy ma obowiązek objaśniać i pouczać wyborców o czynnościach wyborczych i na których załatwiane być winny sprawy dotyczące wyborów w powiecie, podejmowane bywają następujące czynności:

a) wybór Komitetu powiatowego w myśl paragrafu 13,

b) wybór delegata i jego zastępcy na walne zebranie delegatów W. Ks. Poznańskiego. W razie zawakowania miejsca delegata, zastępca delegata ma wszystkie prawa delegata dopóty, dopóki walne zebranie powiatowe nowego wyboru delegata nie dokona,

c) trzech kandydatów do sejmu lub parlamentu, z których następnie dokonują ostatecznego wyboru na okręg wyborczy, delegaci na walnem zebraniu delegatów,

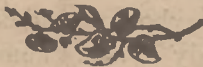
d) sprawdzenie rachunków Komitetu powiatowego i udzielenia pokwitowania,

e) wyznaczenie pewnej kwoty na potrzeby Komitetu prowincyalnego (cfr. Walne zebranie delegatów).

§ 21. Walne zebranie rozstrzyga i załatwia wszystkie sprawy absolutną większością głosów.

Z czynności walnego zebrania winien być podpisany protokół przez przewodniczącego i sekretarza i przesłany na ręce sekretarza Komitetu prowincyalnego.

(Dokończenie nastąpi).



Głosy od przyjaciół.

Essen (Nadrenia), 10 kwietnia 1903.

Obchodziliśmy tutaj w ostatnią niedzielę z. m. wspaniałą *uroczystość jubileuszu Ojca św.*, przyczem okazało się, że pomimo różnych przekonań pod względem politycznym i stąd powstałych waśni, gdy tego wymaga religia stajemy wszyscy pod jeden sztandar narodowy. Tak też zawsze bywać powinno. Po wysłuchaniu kazania polskiego w kościele św. Jana, wygłoszonego przez Wielebnego ojca Erazma, podążyły całe tłumy rodaków do wielkiej sali p. Möllera przy ulicy Schützenbahn. Przybył także w uczestnictwie Wiel. O. Erazma ks. proboszcz z parafii św. Gertrudy. Na scenie wspaniale udekorowanej widniał rzęsiście oświetlony i przyozdobiony wieńcami biust ojca św. Krótką mowę powitalną wygłosił p. W. dziękując rodakom za tak liczny udział w tej tak ważnej dla nas uroczystości. Następnie odśpiewano kilka pieśni, drogich sercu polskiemu, poczem przemówił do nas w dłuższej iście rozczulającej mowie Wiel. O. Erazm, wnosząc przy końcu potrójny okrzyk „Niech żyje" na cześć Jubilata. Mowę Ojca E. przyjęto hucznemi oklaskami. Nie brakło też i deklamacyi; zasługuje szczególnie na uznanie wiersz wygłoszony przez pana N. p. t. „Idziem pielgrzymi," zamieszczony swego czasu w naszej ukochanej „Pracy".

Nie mniej od dorosłych przyczyniły się też do upiększenia tej uroczystej chwili i dzieci, wygłosiwszy stósowne do uroczystości wierszyki, za co odebrały od obu duchownych obrazki. Następnie wygłosił ks. proboszcz dłuższą mowę, która jakkolwiek w języku niemieckim wywarła wielkie wrażenie na słuchaczach. Mowę ks. proboszcza przyjęto również z wielkim entuzyazmem. (Zaznaczam także przy tej sposobności, iż to ten sam ks. proboszcz, któremu w nr. siódmym „Pracy" zrobiliśmy mały zarzut. Jak się teraz wykazuje, miał i ks. proboszcz pewien powód do wymówienia wzmiankowanych słów, zwłaszcza, że rodacy, a właściwie jeden rodak pan K. nieco nietaktownie sobie postąpił.)

Przy końcu wniesiono okrzyk na cześć obu duchownych, poczem zaśpiewano jeszcze kilka pieśni i zakończono tę wspaniałą uroczystość, która długo jeszcze będzie nam miłem wspomnieniem.

Donoszę zarazem z radością, że od sierpnia Ojciec Erazm ma przybyć do nas na stałe, aczkolwiek uchodziło za rzecz z góry postanowioną, że nigdy polski duchowny nie osiędzie w Essen. Być może, że wzgląd na polskie głosy przy wyborach wpłynął na postanowienie władzy duchownej.

M. S.

— ***Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.***

Redakcya i wydawnictwo „PRACY."

Szanownych Czytelników
w Galicyi

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

2 kor. 30 hal.

wprost do administracyi „Pracy", albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 1 kor. 47 hal.

Kwity na „Pracę" i „Czytelnią" zamieszczone są na osobnej stronie pod okładką.



Wiosną o zaraniu, róża się promieni,
A w ogródku lilja od niej się rumieni ;
Rumieni się zorza i rosa kryształi,
Ale świeższa krasa twoich ust korali.



Świecą gwiazdki jasno, na błękitnem niebie,
Jednak wszystkie gasną, gdy spojrzę na ciebie,
I gwiazdeczki gasną i słońce w obłoku,
Bo jaśniejsze słońce świeci w twojem oku.

Dział illustrowany

Przytułek polski w Juvisy.

—*—

Już niejednokrotnie wspominały gazety nasze o zakładzie św. Kazimierza, o użytecznej działalności tej instytucyi dobroczynnej, która powstała w Paryżu przed kilkudziesięciu laty dzięki energii i nadludzkiemu niemal poświęceniu ś. p. matki Teofili Mikułowskiej, dzięki pomocy ludzi dobrej woli. P. Kazimierz Waliszewski, który wraz z pp. Jaworowskim, Orłowskim, Wolskim i Bereckim, czynną i troskliwą opiekę nad zakładem roztacza, zaproponował mi, bym mu towarzyszył w wycieczce do Juvisy, małego miasteczka pod Paryżem, gdzie mieści się schronienie dla starców i nieletnich chłopców; jest to jakoby filia instytucyi św. Kazimierza, która w Paryzkiem swem siedlisku przy ulicy Chevaleret daje przytułek tylko dziewczętom polskim.

W górzystej części *bourg'u*, wśród parków i ogrodów, z których jeden należy do znanego astronoma, Kamila Flammariona, rozsiadł się skromny polski folwarczek. Budynki murowane, izby szczupłe lecz czyste, na podwórzu hasają malcy o pucołowatych twarzach, z kątów przyglądają się im milczące postacie staruszków... Kilka siόstr w białych kapturkach i ciemnoniebieskich sukniach uwija się wśród tej gromadki, składającej się z chłopców, którzy żyją nadzieją przyszłości i z niedobitków życiowych, którym nic nie pozostało, krom wspomnień.

Trzeba z blizka przyjrzeć się pracy i troskliwości tych cichych i słodkich zakonnic, by ocenić ich poświęcenie. Przedewszystkiem zdają się posiadać cudowną zdolność rozmnażania chleba. Finanse zakładu św. Kazimierza nie znajdują się zgoła w stanie kwitnącym. Próżno komitet rozwija energiczną działalność, celem przysporzenia instytucyi znaczniejszych środków. Paryzka kolonia wychodźcza, zwłaszcza część jej zamożniejsza, zmniejsza się stale. Co rok niemal ubywa któryś z zacnych opiekunów. Z kraju datki płyną bardzo skąpo. Czcigodny p. R. Jaworowski, skarbnik zakładu, ma zadanie równie trudne, jak ministrowie państw militarnych: wydatki rosną, a dochody maleją. Znajduje wszakże pomoc w dzielnych zakonnicach. Jakim sposobem, przy tak ograniczonych funduszach, potrafią one wyżywić swych pensyonarzy i wychowańców, to już należy do niezbadanych tajemnic. Koszt utrzymania jednej osoby zredukowany został do siedmdziesięciu kilku centymów. Mimo to z twarzy chłopaków zdrowie tryska, a jeśli z ust któregoś z weteranów wyjdzie czasem skarga, to powodem jej głównie dolegliwości starcze, bezczynność i tęsknota...

Ach! te ich małe izdebki na piętrze, żołniersko proste, te fotografie i stare ryciny na ścianach, czasem pęk zwiędłych kwiatów! Fotografje zblakły, kwiaty lada dotknięcie obróciłoby w proch. Pamiątki, przed któremi samotni starcy trawią długie godziny, które budzą w nich tyle drogich wspomnień! Życie nie było dla nich łaskawe. Gdyby nie ten skromny przytułek, gdzież podzieliby się dzisiaj, skoro sił do pracy nie staje?

Najstarsi pensjonarze to uczestnicy wojny 1831 roku. Kiedyś byli podobno dzielnymi i ochoczymi żołnierzami, dziś nogami ledwo powłóczą, z bezzębnych ust z trudnością dobywają się słowa.

Takich biedaków jest dużo, a miejsca w domkach mało i pieniędzy brak na ich utrzymanie. A chłopcy! Ileż ubogich polskich rodziców, osiadłych we Francji, niby rozbitki na mieliźnie, błaga, by przyjęto ich dziatwę! W wielkiej sali sypialnej łóżko stoi koło łóżka, ani sposób pomieścić więcej. Chłopcy pobierają nauki w pobliżkim klasztorze, niestety! po francuzku, co czyni, iż mową polską nie zawsze władają swobodnie. To jest niewątpliwie ujemna strona. Gdy opuszczą zakład św. Kazimierza, wprędce zapomną tej niewielkiej praktyki, jaką im daje obcowanie z zakonnikami, i znikną w morzu francuzkiem. Jest że atoli na to rada? Znalazłaby się może, gdyby fundusze były pokaźniejsze; w dzisiejszych warunkach trzeba jednak przedewszystkiem myśleć o tem, by nie umarli z głodu, by nabrali zasad uczciwości. Gdyby nie schronienie w zakładzie św. Kazimierza, wałęsaliby się prawdopodobnie po miejskich zaułkach, bez opieki i dozoru. Bóg wie, coby się z nimi stało.

— „Miłosierdzia! Litości! Litości dla naszych dzieci, litości dla starców naszych!“ Tak woła zarząd w sprawozdaniu. „Gdybyśmy mogli pokazać wam wszystkim te przytulone u nas głowy i główki, tak bezbronne przed życiem i nędzą! Zajrzyjcie na ulicę Chevaleret i przekonajcie się! Zajrzyjcie do Juvisy i otwórzcie oczy na straszną rzeczywistość bratniej niedoli, która tam schronienia szuka! A jeżeli nie możecie, dajcie ucho nam, którzy echem tylko jesteśmy bolesnej skargi, podnoszącej się do was ztamtąd i powtarzającej z roku na rok: miłosierdzia! litości!“

Prost.

Paryż.





Przytułek w Juvisy. Grupa wychowańców. — Wychowańcy, Waliszewski i siostra-opiekunka.

Zofijówki piękna pani.

(Dokończenie.)

Jedynem wyjściem z tej sytuacyi był rozwód, niweczący „komplanacyę“ — ale rozwód na dwie strony: Potockiego z żoną i Zofii z mężem.

Dla załatwienia tych dwóch ciężkich spraw wrócili dobrowolni wygnańcy z wiosną 1796 r. do Tulczyna. Z Wittem rzecz poszła względnie gładko. Była, rzecz prosta, mowa o kilkunastu milionach odstępnego, ale skończyło się na 2 milionach złotych. Eks-komendant był zawsze człowiekiem do kompromisu skłonnym i takim się też okazał i w tej okoliczności. Natomiast rokowania rozwodowe z wojewodziną szły jak z kamienia, i nie byłyby może wcale doszły do zamierzonego celu, gdyby nie śmierć Szczęsnowej Potockiej w 1798 roku nastąpiona. Mieli już teraz kochankowie rozwiązane ręce i pospieszyli związać je napowrót, ale — inną stułą. Ślub Potockiego i Zofii Celice-Clavone, *primo voto* Witte'owej, odbył się skromnie i bez rozgłosu dnia 17 kwietnia tegoż 1798 roku w Tulczynie.

Ile że Suworow zamieszkiwał pałac Tulczyński, nowożeńcy obrali sobie za rezydencyę Humań i rozpoczęła się sielanka, ale sielanka w stylu Szczęsnego, który na przeciętną miarę niezwykł był czynić niczego. Jeżeli z prezentem dla Rzyczypospolitej występował, to był to pułk do ostatniego guzika przezeń wysztyftowany, z dodatkiem kilkunastu armat; jeżeli konfederacyę urządzał, to... Targowicę; jeżeli park zakładał, to — Zofjówkę.

Razu pewnego piękna wojewodzina, przechadzając się po okolicy Humania, znalazła się w towarzystwie małżonka swego w miejscowości zwanej Kamionką. Nazwa dobraną była jak ulał, albowiem okrom kamieni, wyrw i typowego pustopola wokrąg, na niczem wzrok się nie zatrzymał. I przyszła pięknej pani myśl niepospolita.

— Tu należałoby założyć ogród i park! — rzekła.

Życzenie to było dla rozkochanego wojewody rozkazem. Tysiące robotników stanęło do pracy, posypały się z pańskiej szkatuły tysiące tysięcy dukatów. Poczęto tworzyć coś, co nie istniało wcale; poczęto góry przenosić, parowy równać z ziemią, lasy przesadzać, zmieniać koryta strumieni. Jął powstawać, jakby pod dotknięciem różczki, arcytwór kunsztu ogrodniczego, nawany *Zofjówką* od imienia ubóstwionej Greczynki. Znakomity ogrodnik Mentzel, po części inżynier, który umyślnie jeździł zagranicę dla studyowania parków, kierował robotami; Potocki zaś zajmował się i pieścił ukochanem dziełem, raz, dogadzając kaprysowi żony, powtóre, jego własnej ambicyi, potrzecie, potrzebie zajęcia się czemś, dającem mu to, czego szukał jaknajbardziej: zapomnienie. I tworzył ową Zofjówkę przez lat dziesięć, od r. 1795 do samej śmierci, nieustannie urzeczywistniając w niej coraz to inne, coraz śmielsze pomysły, i zostawił ją — niewykończoną. Pochłonęła Zofjówka, jedni mówią 8, drudzy 15 milionów złotych, sumę, na owe czasy olbrzymią.

Co stworzono? Dokładnych opisów ówczesnej Zofjówki nie mamy; Trembecki w słynnym poemacie swoim odsłania nam z po za retorycznych zwrotów niektóre tylko jej przepychy, a to, co z Zofjówki do dziś duia przetrwało, pozwala mieć wyobrażenie o tem, czem być musiała — aczkolwiek nigdy nie



Przytułek w Juvisy. Najstarszy pensyonarz wraz z księdzem kapelanem.

wykończona — wówczas, gdy używał w niej wczasu, i pysznił się dziełem swojem przed żoną były marszałek Targowicy.

Były więc tam skały sztucznie dźwi gnięte, i kaskady, i groty, i greckie świątynie, i jeziora, i mosty, i zacisza leśne, i wyspy, i „dolina olbrzymów,“ pokryta wykutemi z granitu posągami, i — albo to zliczyć i opisać wszystkie cuda! Posłuchajmy Trembeckiego, który własnemi oczyma oglądał w znacznej mierze stworzoną, a wciąż dotwarzaną Zofjówkę.

To mnie bawi, to cieszy, to zmysły zachwyca.
Chudą pierwej golizną świecące pagórki
Zdaleka przyniesione pocieniły borki,
Gdzie, między krajowemi umieszczone [drzewy
Są z Libanu, z Atlasu, z antypodów [krzewy.
Od nich mię po kamieniach noga niesie [letka
Ku niższej grocie, króla rzeczonej [Łokietka...
A ztamtąd pochodzistsze przebiegłszy [zielenie,
Starownie kuta grota większe ma prze- [strzenie.
Z czoła olbrzymi granit zamiast słupca [stoi,
Krynica ją z opoki wytłoczona poi.
Tam słodki wie[illegible], którego żaden wiek nie [zmaże,
W tę grotę wchodzącemu szczęśliwym być [każe...

A dalej:

Z dębu, w leśnej odzieży ułożona sala,
Zasłaniając przepaście, gorżką myśl oddala.

Gdzieindziej pływa się barką w kanał podziemny, mający wylot na jezioro.

Po morzu tem szedł okręt, sprawnem cięty [dłótem,
Ujaśniony farbami i lśniący się złotem.
Okręt dążył do wyspy.

Czy koniec na tych cudach? Bynajmniej. Przed zdumionym wzrokiem Trembeckiego wre i kipi dalej robota w Zofjówce, rozrastającej się i przepyszniejącej z dnia niemal na dzień.

Gwar ciżby, lin skrzepienie, głośne szczęki [młotów
Zwróciły moje kroki w stronę tych łoskotów,
Gdzie długi głaz z wnętrzności wyrobiony [skały,
Mnogie siły złączone z trudnością dźwigały.
Z ciemności wydostany to będzie miał zyskiem:
Chmury swym dzielić końcem, zwać się obe- [liskiem.

A gdy tam piętrzą się jeden na drugich granitowe złomy, owdzie rozlewają się nowe a misternie kierowane żyły wodne, srebrzące się wśród bujnej zieleni. I zachwyconemu poecie przychodzi rymem płynąć do wtóru szemrzącym rytmicznie kaskadom:

Dostatek, moc przemysłu i sztuka rzemiosła
Bliższe wody ściągnęła, złączyła, podniosła.
Z nich kanały, fontanny, z nich obrusy szklane
Płyną, skaczą i błyszczą, pod wagą rozlane...

Aż wreszcie, tchu wyzbyty, na widok cudów tylu, woła, przenosząc się z Zofjówki w inne, już słynne u świata okolice:

Kto gajów Tuskulańskich smakował ochłody,
Kto uwieńczał Tyburu spadające wody,
Kto straszne Pauzylipu przebywał wydroże,
Jeszcze i Zofjówce zadziwiać się może,
I przyzna, jeśli szczerość usty jego włada:
Czem tamte w częściach słyną, ta razem po- [siada.

Co zostało dziś z tych wspaniałości? Podobno, niemało. Dziś jeszcze Zofjówka, to dzieło wielkiego smaku i pracy niezwykłej; przednia ozdoba kraju i osobliwość, godna zamorskich turystów.

Powiedzmy już na tem miejscu, że



Przytułek w Juvisy. Zakład św. Kazimierza w Juvisy.

po śmierci Szczęsnego Potockiego, Humańszczyznę objęli w dziedzictwo synowie jego, Aleksander i Mieczysław (z Delfiną Komarówną ożeniony), korzystając z podniesionej przez ojca stopy rolnictwa oraz rozwiniętego dobrobytu włościan, bo oddać trzeba wojewodzie sprawiedliwość, że, jako rolnik, gospodarz i zwierzchnik poddanych, niemałe położył zasługi. Szkołami też słynął Humań, licząc wśród uczniów swoich Zaleskiego i Goszczyńskiego, Michała Grabowskiego i Mianowskiego, przyszłego rektora Szkoły głównej. Na początku bieżącego wieku odwiedził Zofjówkę, jeszcze za życia Zofii Potockiej, cesarz Aleksander I. W r. 1834 Humańszczyzna uległa konfiskacie na rzecz rządu i zamienioną została na wojskową kolonię (wojennoje posie enje), poczem, gdy wojskowe kolonie w Humaniu istnieć przestały i majętność wcielono do dóbr państwa, przeszła Zofjówka pod zarząd dworu cesarskiego, jako własność cesarzowej Aleksandry Teodorówny i nazywa się obecnie „Carycyn Sad". W Zofjówce, mającej przestrzeni 107 dziesięcin, założoną została w roku 1858 szkoła ogrodnicza, której zarząd opiekuje się pamiątkową i piękną miejscowością.

A Szczęsny Potocki? Napozór płynęło mu życie cicho i spokojnie — do czasu. Przystrajał Zofjówkę, dogadzał żonie, cieszył się z każdego gościa, co przełamawszy ostracyzm, ciążący na byłym marszałku, zjawił się w pałacu, zwabiony sutą zawsze ucztą i wystałem winem. Ale w duszy człowiek ów nie miał już ani spokoju, ani pogody, ani szczęścia i nieprzesadnie koloryzuje Słowacki, pisząc:

Jak trup śród ludzi, jak upiór przy stole,
Zimne po sercach przechodziło mrowie,
Kiedy co mówił, gdy pił jakie zdrowie.
Gdy wszedł — nie wstawał nikt przed tym [człowiekiem,
Choć orderami był sławny i wiekiem...
Wiedział to sam, że odstręcza,
Że coś pomiędzy nim a światem stoi.
Więc już oddawna zaniechał z rozpaczą
Przepraszać serca, które nie przebaczą.

I, dogryzany powoli sumienia trującym niepokojem, wlókłby jeszcze lat wiele żywot, ani jemu ani nikomu nie potrzebny i później nieco stanąłby przed sądem Bożym i potomności, gdyby nie cios ostatni, a najboleśniejszy, któremu sądzono było, jak biczem Eumenid, smagnąć stojącego nad grobem starca.

W 1799 r. przyjechał do Humania starszy syn wojewody, urodzony z Mniszchówny, Jerzy-Szczęsny. Przystojny, nieokiełznany paliwoda, będąc kamerjunkrem przy dworze petersburskim, tak hulał i birbantował, że aż osobiście wdać się musiał w sprawę cesarz Paweł i rozkazał mu wyjechać ze stolicy do wiejskich dóbr ojcowskich. Nie miało to wygnanie nazbyt uciążliwem być dla młodego hrabicza. Znalazła się dlań rychło w Humaniu kompania, chętna do spróbowania „zabaw" stołecznych. A że były to męty i szumowiny społeczne, bo innej kondycyi ludzie nie zazierali w gościnę do Humania, to już wcale nie trapiło rozhulanego wartogłowa. Byle pić, grać i baraszkować.

Zakipiał dwór magnacki. Wojewoda snuł się samotny, jak cień, po apartamentach swoich, bo nie do hulanki mu było i pijatyki — natomiast ożywiła się i zajaśniała dawnym blaskiem powabu i urody wojewodzina. W pasierbie znalazła upragnionego partnera; pasierbowi, nie dziw, przypadła do gustu macocha. Stary wojewoda przyglądał się temu, jak krotochwilom, właściwym młodemu wiekowi, i podczas, gdy różne rzeczy dokoła niego szeptano sobie do ucha, on nie słyszał nic i zdawał się niczego nie spostrzegać.

Lecz gdzież jest młoda małżonka? Grafiny?
Czemu nie przy nim? Dawniej niewolnica,
Dziś samowładna w zamku monarchini —
Z kimże to błądzi po świetle księżyca?

Z kimże, jeżeli nie z młodym Jerzym-Szczęsnym... I trwało to tak długo i tak zaszło daleko, że pięknego wieczora wojewoda sam osobiście natknął się na scenę, do tego stopnia romantyczną, iż nawet wątpliwości mu żadnej nie pozostało.

Ale nie miał sił, by zdobyć się na czyn stanowczy, nawet na rozkaz. Zamknął się w komnacie swojej, nikomu przystępu do siebie nie dając, i tak gasł powoli. Śmierć uwolniła go od tej męki domowej dnia 15 marca 1805 r. Umarł w chwilach ostatnich nie wyraziwszy życzenia widzieć żony i syna, nie spytawszy nawet o nich. Pochowano wojewodę ruskiego w Tulczynie, gdzie w podziemiach kościelnych spoczęły obok jego trumny zwłoki Trembeckiego, piewcy „Zofjówki".

Dopiero w Humaniu rozpoczęła się na dobre istna bachanalja. Szalała wojewodzina w objęciach pasierba, Jerzy-Szczęsny hulał bez pamięci, szalał dwór Humański, przelewający się po brzegi od obieżyświatów, birbantów awanturników z pod ciemnej gwiazdy i szulerów. Olbrzymie sumy przechodziły z rąk Jerzego Szczęsnego do rąk jego partnerów, żelazne zdrowie wojewodzica rozkruszać się poczęło, jak dąb, robactwem stoczony. Pierwsza opamiętała się Zofia Potocka i zobojętniałego dla niej pasierba sama powstrzymywała na brzegu przepaści, orgja przerwała się na chwilę i partnerzy wojewodzica, zwąchawszy pismo nosem, zapotrzebowali ostatecznego rozrachunku. Okazało się, że długi kartowe i inne Jerzego-Szczęsnego wynoszą 14 milionów złotych. Nawet na Humańskiej fortunie była to szczerba widoczna. Wówczas wojewodzina zdobyła się na krok heroiczny: zaproponowała pasierbowi układ, którego mocą spłaci wszystkie jego długi i dożywotnią zapewni mu rentę 50 tysięcy czerwonych złotych, — ale pod warunkiem, że Jerzy-Szczęsny wyjedzie natychmiast i nigdy już więcej w życiu nie ujrzy ani Humańszczyzny, ani macochy.

Układ stanął. Jerzy-Szczęsny wyjechał do Francyi i niedługo potem w 1809 r. samotny, opuszczony, rozpaczający nad zmarnowanem bujnem życiem, na obcej ziemi umarł.

Zmiana wielka nastąpiła w duszy i sposobie życia wojewodziny Zofii Potockiej, aczkolwiek 45 rok życia dla kobiety zawsze jeszcze pięknej i powabnej, jak mało która, nie mógł stanowić jakiejś przełomowej chwili. Zajęła się uporządkowaniem ogromnej fortuny, dolą włościan i pełnieniem na szeroką skałę dobrych uczynków. Nie zwróciła się ku przesadnej dewocyi i ascetyzmowi, jeno w uczynkach swych stała się wzorem dla rzeczywiście chrześcijańskich dusz. Poważano ją, kochano i błogosławiono na szeroką okolicę, zwłaszcza zaś w Humańszczyźnie, której była bóstwem opiekuńczem. I nie będzie zbyt śmiałem twierdzenie, że musiały być w Greczynce owej jakieś wrodzone dobre skłonności, i że dary te Boże przygłuszyło w niej życie, tak od zarania młodości rozwłóczone po tylu bezdrożach,

Żyć przestała hrabina Zofia Potocka dnia 22 listopada 1822 roku, jeśli się nie mylimy w Berlinie, dokąd dla poratowania rujnującego zdrowia była pojechała. Zwłoki jej sprowadzono do Humania z okazałością wielką. Drogę, którą kondukt kroczył, na przestrzeni dziesięciu wiorst przed miastem, rozświecono palącemi się beczkami ze smołą, a trumnę w podziemiach cerkwi t. zw. Uśpieńskiej, pogrzebano. Cerkiew



Przytułek w Juvisy. Grupa starców.

owa, w której, mówiąc nawiasem, wykonał przysięgę Gonta, wyruszając przeciwko Żeleźniakowi, uszkodzona trzęsieniem ziemi, zniesioną została w 1846 r. Na miejsce ołtarza głównego postawiono krzyż, a zwłoki Zofii Potockiej przewieziono do cerkwi w majętności Talne, należącej do Olgi z Potockich hr. Szuwałowej. Dobra Talne, mające przed uwłaszczeniem włościan 30 tysięcy dziesięcin obszaru, leżą o wiorst 45 na północ-zachód od Humania. Tam, w srebrnej trumnie spoczywają popioły pięknej pani z pokolenia nowoczesnych Atrydów, o których powiada poeta, że pozostawili po sobie prochy tak czarne, jakich pod żadną nigdzie nie szukać mogiłą.

Na trumnę Zofii Celice-Clavone hr. Potockiej może to nazbyt ciężkie i nieubłagane słowo. Na trumnę tę wieńca kłaść nie przystoi, ale obok kamienia znaleźć się na niej powinien kwiat dobrej i wdzięcznej pamięci za kilkanaście lat ostatnich życia tej złowrogiej dla tylu ludzi przez lat tyle kobiety. A czy, wreszcie, powiedzianem o niej zostało ostatnie słowo? Zaiste, nie. Postać ta, już choćby samą jaskrawością swoją pociągająca i zaciekawiająca, czeka jeszcze na historyka swego. A zaś przypominać ją długo jeszcze będzie dziejopisom i laikom ów nieodłączny od jej imienia, fantastyczny niemal, jak sama piękna Greczynka, park podhumański: budząca wspomnień tyle i melancholijnej zadumy, niezrównana „Zofijówka."

Cz. J.

Przy wiosennej orce.

Tu, gdzie niegdyś z pohańcami harcowały hufce nasze,
Dziś wysoko, pod błękitem unosi się polskie ptasze,
A na roli siwe konie krają w skiby het zagony,
Pług kieruje kmieć sędziwy, wiekiem, pracą uznojony.

Pogania mu wnucze hoże, wtórując wciąż skowronkowi!
Aż zdziwione, milknie naraz — przypatruje się dziadkowi.
Dziadoś zwiesił siwą głowę, po jagodach łza mu ciecze,
Stoi, duma, myśli waży i tak wreszcie chłopcu rzecze:

„Patrzaj Jasiu! to żelazo, zardzewiałe od starości,
Wyorane teraz pługiem może z pośród polskich kości,
To jest dawna zbroja lasza tych rycerzy, co walczyli
Za swobodę i za wiarę... i tu życie swe złożyli.

Więc jak wielki ojców cmentarz są te ziemie i te role,
I jak Boże przykazanie zapamiętaj to, pachole,
Że tej świętej ojcowizny masz tu aż do zgonu bronić,
Nic z niej nigdy, nawet myślą odrobinki nie uronić.

Bo dusze tych, co ich kości tu w tej ziemi już spró-
[chniały,
Patrzą z nieba i na wieki wieków by cię przeklinały
Gdybyś choć szmat jeden ziemi, a z nią cząstkę ojców
[kości,
Oddał kiedyś w ręce cudze, w ręce obcych jakichś gości.

A teraz wio! hetta siwy! batem siwą!..." I tak dalej
Dziadek z wnukiem do południa czarną ziemię wciąż orali.
Nie wszystko z dziadkowej mowy wnuk wówczas do-
[brze zrozumiał,
Lecz do śmierci — ojców ziemi bronić dzielnie bę-
[dzie umiał. —

Bolesław. K.

Wspomnienie studenta z r. 1863.

O Polsko! Ojczyzno moja, Ty jesteś jak
[zdrowie!
O jakże Cię kochać trzeba, ten tylko się
[dowie —
Który Cię raz stracił!

Prawdziwa cisza grobowa zapanowała nad Krakowem r. 1863. Wszystkie zabawy tak publiczne jako też i domowe ustały. Słychać było tylko płacz i żałobne śpiewy po kościołach za poległych w obronie uciemiężonej Ojczyzny.

A mnie nakazano, bym pilnował dworku na ulicy Rajskiej i ostrzegał powstańców przed nadchodzącą patrolą lub rewizyą policyjną. Dlatego cały czas wolny od szkoły w dzień i w nocy chodziłem jakoby żołnierz na warcie, uważając i śledząc każdy ruch lub zbliżenie się obcych ludzi. Zauważyłem, że niejakiś Felkiewicz należący do grona powstańców, pracujących w komitecie w dworku na ulicy Rajskiej, często z obcymi panami przechadzał się około dworka, podglądał i narady z tymiż odbywał.

Widziałem go często obok restauracyi, różnych podrzędnych handli jak przypatrywał się, gdy z ukrycia wyciągano i aresztowano powstańców. Zwróciłem uwagę komenderującego komitetu, aby byli ostrożni, gdyż Felkiewicz podgląda wszystkie czynności.

Nareszcie zjawia się d. 30-go października 1863 r. rano znowu rewizya policyjna i po różnych śledztwach, aresztują świeżo przybyłego na pobyt do Krakowa pułkownika inżynieryi rosyjskiej Jana Wojsym Antoniewicza i uważając go jako nielegalnie przebywającego emisaryusza, internują na Wawelu, skąd go do więzienia w Koenigraetz przewożą. Pozostała żona wraz z 5-ma dziećmi na utrzymaniu i opiece moich rodziców.

Dziwnie się to wszystko składało. — Felkiewicz przed ostatnią rewizyą zniknął zupełnie z komitetu, — rzucając na siebie podejrzenie uzasadnione jako zdrajca. — Popłoch zapanował pomiędzy powstańcami, by nie odkryto planów wojennych, — i wszystkich komitetów w Krakowie i okolicy.

W kilka tygodni później, powracając z szkoły, widzę zbiegowisko przed Sukiennicami i ratuszem, a leżący jakiś obcy człowiek tarza się w krwi. Zbliżam się ku niemu i poznaję Felkiewicza, zasztyletowanego. Taki to był koniec zdrajcy Ojczyzny.

* * *

Zaprawdę, że boleśnie było patrzeć na kwiat młodzieży polskiej, jak ginęła pastwą śmierci w obronie nieszczęsnej Ojczyzny.

Wśród zawieruchy śnieżnej — około północy zadzwoniono do dworku na ulicy Rajskiej. Wszedł młody, przystojny mężczyzna, wyglądał jakoby ciężko chory: „Ratujcie — zawołał — umieram!"

A był to jeden z powstańców, którego przed kilku tygodniami pożegnaliśmy, Władysław Choroszczakowski — — Rybicki, śmiertelnie ranny w piersi. Udzieliliśmy mu pierwszej pomocy i zabandażowaliśmy mu ranę. Przybył pieszo z placu boju pod Miechowem. Lecz niestety! mimo, iż otaczaliśmy go prawdziwie braterską opieką, śmierć niezbyta zakołatała — i w kilka miesięcy zmarł wskutek odniesionej rany, na rękach mojej rodziny.

* * *

„Powstańców przywożą!" ogólny alarm powstał w Krakowie, — Langiewicz przeszedł granicę i poddał się Austryi. Zdala widać fury, bryki — piechotę, konnicę polską, konwojowaną przez żołnierzy austryackich.

Umieszczono biednych w ujeżdżalni obok Kapucynów w Krakowie. Kto tylko żył, spieszył, aby ich powitać. Znoszono jedzenie i trunki. Starszyzna wojskowa austryacka była bardzo przychylnie usposobiona dla naszych dowódców. Pomimo otoczenia powstańców kordonem, udało się mnie podać niektórym czapki, zarzutki, płaszcze, w które ubierali się i uciekali z niewoli niespostrzeżenie, ginąc pomiędzy niezliczonym tłumem. Powstańcy bowiem mieli na sobie kurtki sukienne podobne do bluzki, ciemne krakuski na głowie i wysokie buty.

Pomiędzy zabranymi znajdowała się także panna Henryka Pustowójtówna.

* * *

Pułkownik armii rosyjskiej Jan Wojsym Antoniewicz, zamieszkując w dworku na ulicy Rajskiej w Krakowie, po kilkumiesięcznem więzieniu w Koenigraetz, zbiegł przebrany za wojskowego do Paryża, gdzie otrzymał posadę profesora w szkole polskiej na Boulevard Mont — Parnasse.

M.

Zabójstwo carewicza Iwana

16-go lipca 1764 roku.

Piotr W. pierwszy zaczął łamać wszystko, co było starego w moskiewskiem państwie. Przeciw ciężkiemu, nieruchomemu bizantyzmowi postawił traktyerne zwyczaje, nudny pałac carski zmienił się na karczmę, w której od cara do ostatniego lokaja wszyscy pili i hulali, oddając się śmiało rozpuście, bo car jej przewodniczył; zamiast prawnego następstwa tronu Piotr objawił, że imperator może naznaczyć następcą tego, kogo zechce; potem, będąc w niewoli tureckiej, pisał do senatu, żeby senat sam wybrał najgodniejszego, a nakoniec odebrawszy koronę własnemu synowi, dał ją pokojówce, która, przechodząc z rąk do rąk, dostała się jemu. Piotr zniósł urząd patryarchy, zabronił relikwiom czynić cuda i otarł do sucha łzy, cieknące z oczu cudotwornych obrazów. W ziemi kastowych przesądów posadził wyżej od wszystkich plebeusza Mieńszczykowa; ciągle bawił się i przyjaźnił z cudzoziemcami, nawet z murzynami; jednym słowem obrażał na każdym kroku wszystkie strony przeszłego życia moskiewskiego i carskiego formalizmu.

Piotr nadał ton, następcy kontynuowali grę. Pół wieku po nim ciągnie się nieustanna orgia wina, krwi i rozpusty.

W te to zakulisowe strony życia caratu wprowadzimy naszych Czytelników, nie obeznanych z moskiewską historyą.

24-go listopada 1740 roku, Elżbieta, córka Piotra I., namówiwszy ośmiu grenadyerów przeobrażeńskiego pułku, wpadła w nocy do pałacu rejentki Anny Leopoldówny, aresztowała ją wraz z mężem i małoletnim carem Iwanem, i odesłała do Rygi. Po półtora-rocznem więzieniu w fortecy, w której im odmawiano najpotrzebniejszych rzeczy do życia, przyszła wiadomość, że będą wysłani do Niemiec. Promień nadziei lepszej przyszłości zabłysnął dla nieszczęśliwej rodziny, która zaczęła gotować się do wyjazdu; lecz Elżbieta naznaczała im inną przyszłość. Z rygskiej fortecy przeniesiono ich do Dünamünde. Przy przejeździe urzędnicy, zajmujący się wypełnieniem rozkazu, rozkradli większą część ich rzeczy. Wkrótce potem przyszedł nowy rozkaz przewieźć ich do Ranienburga, w Riazańskiej gubernii, a ztamtąd do Cholmogor, małej mieściny, leżącej na wysepce Dźwiny północnej, o 72 werstw od Archangielska. Syna zaś ich Iwana kazano zostawić w Ranienburgu.

Los tego dziecka był bardzo tragiczny. Po odjeździe rodziców jakiś mnich przedsięwziął uciec z nim za granicę, i już dotarł do Smoleńska, lecz tu ich schwytano. Mnich gdzieś zniknął, i nikt nie wie, co się z nim stało, a Iwana zamknięto do szlisselburskiej fortecy.

Nie wielkie okna jego pokoju były ciągle zamknięte tak, że nigdy światło słoneczne nie przenikało do więzienia; świece paliły się nieustannie. Z zewnętrznej strony więzienia stała warta. Nie mając zegarka carewicz nie mógł wiedzieć, czy dzień, czy noc na dworze. Nie miał on żadnego wychowania, nawet czytać i pisać go nie nauczono. Odosobnienie zrobiło go milczącym, zamyślonym; ciało stało się nadzwyczajnie delikatne, bo więzień nie wychodził nigdy na powietrze; brodę miał długą, z którą się bardzo lubił bawić. Raz tylko Iwan widział słońce, gdy z rozkazu Elżbiety przywieziono go w zakrytej karecie do Petersburga, do domu kanclerza Worońcowa, gdzie carowa spotkała się z nim i mówiła dość długo; lecz Iwan nie wiedział, z kim ma do czynienia.

W 1762 r., to jest, gdy miał lat 22, Piotr III chciał go obaczyć, i dla tego z baronem Korfem i kilku dworzanami udał się do Szlisselburga. Car, ubrany w odzienie prostego oficera, wszedł do więzienia Iwana. Korf pisze w pamiętnikach swoich, że mieszkanie było czyste, lecz meble nadzwyczajnie proste, odzienie na Iwanie było ubogie, lecz czyste, bo więzień bardzo lubił porządek. Na zapytanie Piotra, kto on taki, więzień odpowiedział: „car Iwan.“ — To nieprawda — zauważał Piotr — tyś to wyobraził tylko sobie. — „Nie — odpowiedział Iwan — ja o tem wiem od rodziców moich i od strzegących mnie ludzi.“ Piotr zapytał go jeszcze, co on pamięta o rodzicach swoich? Iwan upewniał, że jeszcze ich pamięta, lecz z żalem skarżył się na carowę Elżbietę, że się źle obchodziła z rodzicami jego. Odjeżdżając Piotr kazał wybudować mały domek w fortecy dla nieszczęśliwego Iwana, i dać mu lepsze utrzymanie.

Gdy Katarzyna II, zamordowawszy męża, wstąpiła na tron, Iwana tajemnie posłano do Koksholmu w ołoniec kiej gubernji, gdzie go trzymano około miesiąca. Caryca chciała go obaczyć. Nie wiadomo, gdzie było to spotkanie i co mówili między sobą. Caryca kazała odwieźć go nazad do Szlisselburgu, umieścić w kazamacie i, zmieniwszy ludzi znajdujących się na straży, naznaczyła innych, dawszy im sekretne instrukcje. Nowo naznaczeni byli: kapitan Własiew i porucznik Czekin.

Imię Iwana już nieraz było używane w mniejszych ludowych lub wojennych ruchach w początku panowania Katarzyny II; lecz zdaje się, że nikt nie myślał na seryo o nim, a tem mniej o użyciu imienia jego lub osoby za chorągiew powstania. Lecz moskiewska Lady Makbet lękała się więźnia i zapewne nie bez przyczyny; tegocześni pisarze sądzą, że tragiczny koniec tego nieszczęśliwego carewicza był przez nią przygotowany.

Bazyli Mirowicz, podporucznik smoleńskiego pułku, rodem z Ukrainy, zrujnowany i zniszczony sekwestracją dóbr dziada za to, że działał razem z Mazepą*), nie otrzymawszy (jak mówi akt oskarżenia), żadnej odpowiedzi na prośbę o zwrot swych majątków, postanowił wynieść się za pomocą czynu, który mu wydał się bardzo łatwym, i który w samej rzeczy nie był trudnym. Mirowicz przedsięwziął zamkniętego Iwana posadzić na tron moskiewski, którym wtedy rozporządzały szajki pijanych żołnierzy. Za pomocnika wybrał sobie kolegę porucznika Uszakowa, który służył w wielkołuckim piechotnym pułku. Obydwaj w cerkwi kazańskiej Matki Boskiej poprzysięgli projekt ten przyprowadzić do skutku. Lecz wkrótce Uszakow, posłany do Smoleńska ze skarbowemi pieniędzmi, utonął w drodze, Mirowicz został sam jeden.

Gdy przyszła na Mirowicza kolej stanowcza wstąpienia do szlisselburskiej fortecy na zajęcie straży, przechadzając się po wałach dowiedział się o miejscu, w którem zamknięty był Iwan, i do wypełnienia za dni kilka przedsięwzięcia oznaczył to miejsce znakiem.

Było to w 1764 roku, wtedy, gdy caryca pojechała odwiedzić Liflandję. Mirowicz przygotował w imieniu carycy manifest, którym miał nadzieję przekonać komendanta i żołnierzy, znajdujących się pod jego dowódz-

---

[1]) Musimy tu umieścić bardzo ciekawy fakt z kościelnej historyi Moskwy. Co rok w cerkwiach wszystkich, w wielki piątek, wyklinają z najwyższego rozkazu zdrajców, co się targnęli przeciwko carom. W liczbie tej znajdują się Pugaczew, Stieńka, Riazin, Otrepiew i Mazepa. Ten ostatni fundował cerkiew w kijowskiej guberni z warunkiem, żeby tam modlono się za jego duszę. Co tydzień więc pop po mszy prosi Boga, żeby Mazepę przyjął do królestwa niebieskiego, tak że Bóg znajduje się w wielkim kłopocie, co robić z Mazepą, którego jedni i ciż sami przeklinają i za niego się modlą.

twem. W nocy z 15 na 16 lipca odkrył plan swój przed trzema podoficerami i trzema żołnierzami, i namówił ich przyjąć w nim udział.

O godzinie 2-giej po północy Mirowicz obudził całą komendę, kazał jej stanąć pod broń i nabić strzelby. Komendant Bieredników słysząc ruch, zerwał się z łóżka, i wyszedłszy z mieszkania zapytał Mirowicza, co zamyśla robić. Mirowicz podał mu manifest carycy, w którym było powiedziano, że Katarzyna II. postanowiła złożyć carską koronę i włożyć na głowę Iwana, jedynego prawego następcy moskiewskiego tronu, i rozkazuje komendantowi wypuścić go natychmiast na wolność. Komendant nie dał wiary manifestowi i chciał go aresztować, lecz Mirowicz tak go uderzył kolbą w głowę, że komendant upadł. Potem z oddziałem swoim rzucił się na straż, stojącą koło mieszkania Iwana.

Oficerowie będący na warcie dowiedziawszy się o co chodzi, kazali strzelać do żołnierzy Mirowicza, lecz strzały te z powodu gęstej mgły nikomu nie szkodziły. Wspólnicy Mirowicza spotkawszy niespodziewany opór żądali, żeby przeczytano jeszcze raz rozkaz, na podstawie którego im bić się kazano. Mirowicz przeczytał manifest, obiecał im nagrodę, jeżeli oswobodzą cara, i nastraszył karą, jeżeli go opuszczą, wtedy to żołnierze ściągnęli działo z bastionu i skierowali je na palisadę, zamykającą wchód do kazamaty, w której znajdował się Iwan.

Kapitan Własiew i porucznik Czekin, nie spodziewając się wytrzymać ataku, oznajmili Mirowiczowi, że mają rozkaz zabić więźnia, jeżeli nie będą w stanie oprzeć się tym, którzy zechcą go oswobodzić. Nie odpowiadając na ich słowa Mirowicz kazał spieszniej wyłamać drzwi. Wtedy to Własiew i Czekin wbiegli do pokoju śpiącego carewicza, i pierwszy z nich zbliżywszy się do łóżka z całej siły uderzył go szablą w głowę. Uderzenie to jednak nie było śmiertelne. Iwan wyskoczył z łóżka i rzucił się na zbójców z taką energią i zaciętością, że wyrwał szablę Własiewa i połamał ją na kawałki; ale wśród walki z nim Czekin zaszedł mu z tyłu, i siedm razy utopił szpadę swoją w piersiach nieszczęśliwego. Potem obydwaj wzięli zbroczonego krwią trupa Iwana, i wyniósłszy go na podwórze, rzucili pod stopy Mirowicza, mówiąc:

— Oto wasz car, postawcie go na czele waszej armji, zapewnie doskonale będzie panować na rosyjskim tronie.

Mirowicz podjął trupa Iwana, zaniósł go przed swój oddział, pokrył chorągwią, i ukląkłszy przed nim ucałował rękę. Następnie zdjąwszy z siebie znak oficerski, szarfę, i szablę odpiąwszy, położył je około trupa, i zwracając się do Korsakowa, dowódzcy smoleńskiego pułku, który dowiedziawszy się o tem co zaszło przybył do fortecy, powiedział:

— Car mój i pan zabity; teraz możecie ze mną robić co chcecie. Los nie dozwolił dopiąć mego celu. Ja się nie skarżę na dolę moją, lecz serdecznie żałuję wspólników moich, których wciągnąłem i nieszczęśliwą ofiarę mego przedsięwzięcia.

Potem ucałował podoficerów i żołnierzy i oddał się.

Ciało nieszczęsnego Iwana, okropnie pokaleczone, wystawiono na widok publiczny żeby ludność mogła przekonać się o rzeczywistej śmierci.

Następnie poczęto sądzić Mirowicza. Proces prowadzono z nadzwyczajną srogością, gdyż nikt nie chciał wierzyć, żeby jedna osoba była w stanie odważyć się na podobne przedsięwzięcie. Wszystkie jednak starania dla wykrycia wspólników były napróżne; Mirowicz nie wskazał nikogo. Nadzieje Katarzyny II., że uda się jej wmięszać w tę sprawę księżnę Daszkową, której niecierpiała i pozbyć się chciała, spełzły na niczem.

W czasie sądu Mirowicz zachowywał się z nadzwyczajną godnością. Niektórzy z sędziów, moc duszy przypisując zatwardziałości serca, wyrzucali mu to.

— Ja uważam siebie — odpowiadał Mirowicz — za nienależącego do tego świata; wiem, że będę skazany na śmierć haniebną, i jestem gotów przenieść ją za występek, który popełniłem, żałując serdecznie biednych żołnierzy, których namówiłem do tego przedsięwzięcia. Wspólników innych nie miałem, i sądzę, że sędziowie moi nie zechcą, abym mięszał w tę sprawę zupełnie niewinnych ludzi. Czyżbyś chciał panie prokuratorze — dodał — żebym ciebie obwinił o spólnictwo?

Sąd skazał Mirowicza na ćwiartowanie, Katarzyna zamieniła karę na ścięcie głowy, 28-go września zginął Mirowicz tak mężnie, jak się zachował w ciągu całego procesu. Spólnicy jego — żołnierze skazani zostali na przepędzenie przez pałki po 10 i po 12 razy przez 1000 ludzi, a potem na zesłanie do ciężkich robót.

W czasie procesu Mirowicza mówiono z cicha, że cała ta sprawa była komedją Katarzyny, która zamieniła się na dramat dla Mirowicza. Opowiadano, że Mirowicz był wzywany do hetmana Razumowskiego, który w imieniu carycy obiecał mu zwrot majątku w Małorosji, jeżeli podejmie się zrobić małe powstanie na korzyść nieszczęśliwego Iwana, i da tym sposobem możność pozbawienia go życia. Mówiono, że Mirowicz dlatego był tak mężnym, że do ostatniej chwili oczekiwał obiecanego ułaskawienia.

(Dokończenie nastąpi.)



Bez nadziei.

I.

Leniwym krokiem — jako błędne cienie —
Dni moje ciężkim wloką się łańcuchem,
Nie błyśnie żadne nad niemi marzenie,
I toną, nędzne, w zapomnieniu głuchem —

Pamięć?... Ach! prawdaż to, że byłem duchem?!...

Jak liście zwiędłe z gałęzi żywota,
Dni me spadają z cichutkim szelestem,
Nie wejdzie w czarną sieć — nić słońca złota,
Los mnie wybranych nie namaścił chrzestem —

Pamięć? Pamiętam... Wiem. — Robakiem jestem.

II.

Pamięć mnie trzyma w ponurej ciemnicy,
Jako okrutny dozorca więzienny,
Gwar mnie nie dojdzie ze świata ulicy,
Z nieba nie dotrze do mnie dzień promienny.

Jak wiór się skręca dusza ma z tęsknicy.

Próżno wyglądam błędnemi oczyma,
Rychło-li łzami przetrawię kajdany,
Łza po rdzy płynie, kruszcu się nie ima,
Siedzę — od świata odcięty — złamany —

W celi więziennej pamięć mnie wciąż trzyma.

Wincenty Kosiakiewicz.





Z teatru.

„Żywy posąg“ — dramat w 3 aktach Ciconi'ego, przekład z włoskiego.

Dramat albo raczej melodramat, wystawiony w zeszłym tygodniu na benefis pani Maryi Sznage i panny Anny Zielińskiej, odróżnia się w dzisiejszym repertuarze oryginalnie i dość ponętnie. Odbiega bowiem swym zakrojem i pomysłem od szablonu sztuk sensacyjnych obecnej doby, zapoznaje nas z dramatem z epoki idealizmu w literaturze, a pewne cechy charakterystyczne właściwe pisarzom włoskim w rodzaju Vergi nadają mu sui generis powab. Do tych zaś należy silnie zaakcentowany pierwiastek erotyczny, o odcieniu romantycznym oraz dążności do rozciekawienia widza za pomocą tanich efektów, którym autor podporządkowuje osnowę sztuki. Cel ten mając na oku, Ciconi starał się głównie o to, aby olśnić widza obrazami różniącymi się od siebie jaskrawo, tak pod względem dekoracyjnym jak nastrojowym. Jakoż po scenie śmierci idealnej Maryi na poddaszu, którym rozpoczyna się sztuka, odsłania przed nami przedsionek sali balowej, w której roi się od dam z półświatka i złotej młodzieży, a następnie wprowadza nas znowu na strych, dalej przeplata obrazy wesołą sceną ogrodową, by w końcu zawieść nas na cmentarz. A tu jeszcze zakłóca pokój grobowy wystrzałami pistoletów pojedynkowych. Jak widzimy przeto, autor starał się szczególnie dać spektakl zewnętrznie pociągający, nagromadził wiązkę efektów scenicznych, które osiągają swój cel u mniej wybrednego widza.

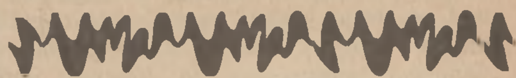
Stało się to wszystko kosztem prawdopodobieństwa; trudno bowiem dać wiarę, aby zmateryalizowana Noemi wyłoniwszy się z mętów zakulisowego, życia, mogła powziąć afekt do melancholicznego mizantropa i to afekt, w którego ogniu następuje zupełne odrodzenie duchowe — możliwe u mężczyzny, ale nieznane u kobiety. Udręczona przez hrabiego Paoli, całkiem nieswoja w ponurej atmosferze Noemi byłaby znienawidziła swego pana i uciekła. I w postępowaniu hrabiego znajdujemy rzeczy niewyjaśnione, psychologicznie nieprawidłowe, których nie tłumaczy jego ekcentryczność lecz — nie przykładamy do melodramatu skalpelu analityka, dając się unosić żywej akcyi, potoczystym dyalogom i — sensacyi.

„Żywy posąg“ zawiera wielką popisową rolę dla artystki wczorajszej szkoły. Pani Sznage słusznie postąpiła wybierając tę sztukę na swój benefis, bo mogła uwydatnić w niej jeszcze dobitniej jak w „Zagrodzie Sobkowej“ swe zdolności w zakresie charakterów nakreślonych grubemi liniami, a nastrojonych elegijnie. Zwłaszcza w pierwszej scenie jako idealna, tkliwa Marya, na łożu śmierci wywarła duże wrażenie, a podzięką za pracę beneficyantki były sute bukiety i kosze kwiatów. Wogóle dobrego partnera miała pani S. w panu Prochasce, który stworzył poprawnie postać zbolałego i złamanego hrabiego Paoli, chociaż posługiwał się niewybrednymi środkami i w ruchach był zbyt szablonowym i jednostajnym. Ponad inne role wybija się nieco postać lekkoducha — adwokata Davida, ale nie daje pola do popisu. P. Stradiot oddał ją z może zbyt polskiem, a nie włoskiem zacięciem. O panu Wiślańskim jako niefortunnym w młodości Pelagio nie da się powiedzieć nic nowego; zauważyliśmy wytknięte mu dawniej wadliwości w wymowie i ruchach. Słodziutką kwiaciarką była panna Zielińska, inne epizodyczne postacie niewieście były dobrze ubrane. Dekoracye i inscenizacya nie pozostawiały nic do życzenia tak, iż „Żywy posąg“ zaprezentował się w dobrem świetle.

Roman Rola.







Wiadomości.

— **Nowy proces wrzesiński.** Do oskarżonych w sprawie zbiegłych skazańców wrzesińskich 12 osób, których nazwiska podaliśmy w numerze 15-ym „Pracy“, przybędzie jeszcze członek izby panów p. Józef Kościelski z Miłosławia i ks. prałat Stychel, poseł na sejm pruski, którzy na razie z powodu dzierżenia mandatów nie podpadają juryzdykcyi prokuratoryi.

Oskarżonych bronić będą pp. mecenasi Lenzmann z Dortmundu, dr. Zygmunt Dziembowski z Poznania, Romocki z Poznania i Tomaszkiewicz z Gniezna. Pan Lenzmann jest posłem do parlamentu i członkiem partyi wolnomyślnych, p. L. znanym jest z sympatycznego dla nas usposobienia.

— **Termin** w sprawie gimnazyastów, których ukarania domaga się rząd pruski za to, że uczyć się mieli historyi polskiej w tajnem rzekomo kółku, wyznaczono przed Izbą karną w Gnieźnie na 8 czerwca r. b., godzinę 9 rano.

Oskarżonych jest 24 i to: 1) słuchacz filologii Jan Schwemin, 2) słuch. medycyny Wacław Wrembel, 3) słuchacz weterynaryi Stefan Piotrowski, 4) Tadeusz Powidzki, 5) Roman Grodzki, 6) Tomasz Grzesiewicz, 7) Józef Janiszewski, 8) Jan Kolipiński, 9) Leon Sołyga, 10) Maryan Chmielewski, 11) Michał Kwiatkowski, 12) Stanisław Zieliński, 13) Leon Hasiński, 14) Mateusz Maniewski, 15) Józef Orański, 16) Maryan Celichowski, 17) Jan Janaszewski, 18) Wiktor Ostrowski, 19) Antoni Pacyń-

ski, 20) Maryan Poprawski, 21) Zygmunt Tomaszewski, 22) Stefan Kubliński, 23) Mieczysław Estkowski, 24) kleryk Stanisław Wesołowski.

— **Z teatru.** W sobotę dnia 25-go b. m. odegranym będzie znakomity utwór Wiktoryna Sardou p. t. „Rozwiedźmy się.“ W niedzielę po południu o godz. 3-ej po cenach do połowy zniżonych bardzo wesoła krotochwila ze śpiewami p. t. „Chcę sobie pohulać“, a wieczorem dnia tegoż powtórzenie sensacyjnego utworu Wiktoryna Sardou p. t. „Tosca“, który odegrano w zeszły czwartek z powodzeniem na benefis pani Jadwigi Orwidowej.

— **Krople św. Jakuba**, uznane jako znakomity środek przeciw bólom i kurczom żołądka, brakowi apetytu itd. poleca apteka K. Kuglera w Gnieźnie (właściciel S. Gantkowski).

— **„Gazeta Grudziądzka“** dowiaduje się z wiarogodnego źródła, że p. Wojnowski nie sprzedał Ostrowitego, położonego w powiecie świeckim, komisyi kolonizacyjnej, ani z nią o sprzedaż swego majątku się nie układał, (patrz „Wiadomość“ w nr. 16-ym „Pracy“)

— **Wyrok najwyższego sądu administracyjnego o pojęciu towarzystwa politycznego.** Prezes pewnego tow. gimnastycznego otrzymał ze strony policyi zawezwanie o podanie na policyi ustaw i spisu członków, ponieważ towarzystwo to, zdaniem tejże władzy, podpada pod § 2 prawa o stowarzyszeniach. Prezes zaprotestował przeciw temuż żądaniu, uzasadniając swój protest tem, iż do towarzystwa może wstąpić każda dorosła osoba, ciesząca się nieposzlakowaną opinią; towarzystwo należenia do jakiejkolwiek partyi politycznej nie wymaga; wedle ustaw ma towarzystwo jedynie na celu pielęgnowanie gimnastyki. Wydział obwodowy odrzucił skargę z powodu, iż towarzystwo wzięło udział w socyalno-demokratycznej uroczystości majowej, mającej wybitny polityczny charakter. Tem samem zaniechało towarzystwo swego celu, określonego w ustawach i podpada pod § 2 prawa o stowarzyszeniach. Wobec apelacyi prezesa towarzystwa zniósł wyższy sąd administracyjny, jak berlińska „Volkszeitung“ donosi, wyrok poprzedni i zawiesił rozporządzenie policyjne, ponieważ wedle brzmienia ustaw towarzystwa nie można sądzić, iżby tu mogła być mowa o towarzystwie w myśl § 2 prawa o stowarzyszeniach, ani też stwierdzić, iż towarzystwo jako korporacya brało udział w uroczystości majowej.

Wyrok ten ma dla naszych towarzystw wielkie znaczenie.

— **Srem.** Majątek Żabno, sprzedany bez potrzeby przez Zakrzewskich na kolonizacyą już w części znacznej rozparcelowano. Charakter dominialny zmieniono i zamieniono na gminę, a nazwa starożytna Żabna zniknęła — zastąpiono ją przezwiskiem „Hirschdorf.“

— **Zaborze.** (Górn. Śląsk). Pogrzeb górników, którzy utracili życie w kopalni królowej Ludwiki, odbył się wspaniale, kosztem rządu — ale wszystkie ceremonie odbyły się po niemiecku, chociaż górnicy byli Polakami. Tylko ks. Czypura przemówił w krótkich słowach — po polsku.

— **Berlin.** W kościele charlottenburskim stał od wielu lat konfesyonał z napisem „Spowiedź po polsku. Dla rodaków naszych był ten napis wskazówką, że spowiadać się mogą w swym języku ojczystym. Tymczasem ks. dziekan Faber krótko przed spowiedzią wielkanocną napis ten kazał usunąć. Cesarz w czasie bytności swej w Poznaniu łagodząc mowę malborską, wyrzekł te słowa: „Życzę sobie, aby wszelkie właściwości szczepowe były szanowane!“ — Widzimy, jak je szanują!

Zmarli.

† Ś. p. *Jan Maryan Dobry*, nauczyciel w Oporowie, dnia 15-go b. m.

† Ś. p. *Stanisław Połczyński*, dnia 13-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 41.

† Ś. p. *Walentyna z Dydyńskich Brzeżańska* dnia 15-go b. m. w Skotnikach w 78 roku życia.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **„Gwiazda.“** Jak się dowiadujemy zostało zawiązane w mieście naszem nowe towarzystwo „Gwiazda“. Towarzystwo to wyłoniło się z grona dawniejszych członków „Stella,“ które jak wiadomo ma jedynie teraz na celu opiekę nad ubogą naszą dziatwą i to pod firmą Towarzystwo kolonii wakacyjnych i stacyi sanitarnej „Stella“ w Poznaniu.

Dawniejsze cele towarzystwa tego upadły z powodów wyżej wymienionych. — Grono dawniejszych członków „Stelli“ postanowiło zatem, chcąc tradycyę starego towarzystwa postrzymać, założyć nowe towarzystwo pod mianem „Gwiazda.“ Celem tegoż będzie urządzanie Wianków, obchodu „Mickiewicza“, wycieczek, a zyski o ile towarzystwo uzna za stósowne przeleje na fundusze dobroczynne, niezapominając w pierwszym rzędzie o naszej „Stelli.“

W skład zarządu wchodzą:

P. Masadyński Józef jako prezes, p. Barcikowski Wawrzyn jako wiceprezes, p. Filipowski Stefan jako sekretarz, p. Nowak Franciszek jako skarbnik, p. Salkowski Jan jako bibliotekarz a radnemi: pp. Brojerski Józef, Lehmann Mieczysław, Mikołajczak Piotr i Szpetkowski Bolesław.

Witamy naszą nową „Gwiazdę“ uściskiem bratnim i życzymy z całego serca powodzenia, na jakie sobie ta stara gwardya zasłużyła.

— **Blumenthal** w Hanowerskiem. Hotel Union.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Tow. polskie „Sobieski“ odbyło 5-go kwietnia r. b. walne zebranie półroczne, któremu przewodniczył p. Paweł Zaręba.

Najpierw odśpiewano hymn narodowy. Tow. w ubiegłem półroczu urządziło 2 zabawy z teatrem; odprawiła się także msza św. na intencyą Towarzystwa. Zebrań zwyczajnych odbyło się 12 i jedno nadzwyczajne. Tow. liczy członków 47 czynnych i 3 honorowych. Tow. abonuje „Pracę“, „Wielkopolanina“ i „Wiarusa Polskiego.“ W tem półroczu było dochodu 445,37 M., a rozchodu 237,75 M., pozostaje zatem czystego dochodu w kasie 209,60 M. Tow. posiada własną bibliotekę, która się składa z 89 książek własności Towarzystwa. Nadto posiada z Czytelni ludowej 110 książek. Co do inwentury to Tow. posiada majątku 560 M. Nowy Zarząd stanowią następujący panowie: Wawrzyniec Hadrian prezes, zastępca Zaręmba; sekretarz Bronisław Machnik, zast. St. Konieczny; skarbnik Ant. Bydgowski, zast. Ign. Szymański; bibliotekarz Ant. Prokop zast. Józef Gurdelak; rew. kasy. Walenty Dąbrowski i Rom. Zieleziński, chorąży Fr. Smieiński, asystenci M. Konieczny i St. Kamiński. Tow. obrało sąd honorowy; następujący panowie są jego członkami: Fr. Hübner, J. Częmpiń, Jan Kraska, Ign. Szymański, a sekretarzem honorowego sądu jest p. W. Pawłowski. Wszelkie listy uprasza się nadsyłać do lokalu posiedzeń. Prezes Wawrzyn Hadrian, sekretarz Br. Machnik.

Blumenthal w Hanowerskiem. Sprawozdanie półroczne z czynności Tow. Polsko-Kat. śpiewu „Wesołość“ w Blumenthalu za czas, od dnia 8-go października r. z. aż do dnia 5-go kwietnia r. b. W tym czasie odbyło Tow. zebrań 8, t. j. 1 walne, 5 zwyczajnych i 2 nadzwyczajne. Na 5 zebraniach przewodniczył jako przewodniczący p. Kazimierz Kaczmarek; na 3 zebraniach przewodniczył jako zastępca przewodniczącego p. Jan Szymański. Na zebraniach załatwiano sprawy towarzyskie, mianowicie po odśpiewaniu pieśni kościelnej odczytywano Ewangelią św. przypadającą na tę niedzielę, w którą się zebrania odbywały; następnie ściągano składki miesięczne, i radzono nad dobrem Tow. Zabaw urządziło Tow. dwie t. j. zabawę z tańcami, w której i sąsiednie Tow. udział brały, wieczorek tylko dla Tow. oraz gwiazdkową zabawę. Tow. zajmuje się śpiewem narodowym i kościelnym, który wykonuje się podczas większych uroczystości kościelnych pod przewodnictwem naszego honorowego członka, dyrygenta p. St. Karwackiego. Tow. abonuje „Pracę“, „Wiarusa Polskiego“ i posiada własną bibliotekę, składającą się z 89 książek. Wszelkie sprzęty Tow. mają wartości 253 M. Remanentu stałego posiada Towarzystwo 115,98 M. W zarząd wstępują następujący panowie: Fr. Matuszek prezes, zastępca Leon Szwałkiewicz; Kaź. Cyplik sekretarz, zast. St. Matuszek; St. Binek skarbnik, zast. St. Hübner; St. Sprutta bibliotekarz, zast. Józef Zydel, wreszcie Józef Paryas i Piotr Landowicz rewizorowie kasy.

Od Redakcyi.

Komitetowi pielgrzymki do Rzymu. — Notatkę o wyjeździe pielgrzymki otrzymaliśmy już po wydrukowaniu numeru na dzień 19-go kwietnia, zatem zamieścić nie mogliśmy.

Panu Janowi T. w R. — Na cele osobiste Pana składki urządzić nie możemy.

PanuSpt. w Ostrowie. — Wiersz nam nadesłany p. t. „Ojcze nasz“ był już zamieszczony w poprzednich rocznikach „Pracy.“ Drugi wierszyk p. t. „Ściskam cię Stasiu, ściskam serdecznie“, nie nadaje się do „Pracy“; zamieść go Pan w albumie „Stasi.“

Panu J. Z. w Ostrowie. — Nadesłanego „Ostrzeżenia“ ze względów prasowych zamieścić nie możemy.

Panu Antoniemu Gt. w Jaworznie (Galicya). — Powieść „Męczennica w koronie“ wyjdzie w osobnej odbitce po ukończeniu druku w „Pracy.“

Panu S. B. 700. — W księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu. Nakładem tejże księgarni wyszedł praktyczny elementarz, uznany za jeden z najlepszych.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Ogrodnictwo domowe.

Wiadomo powszechnie, że słońce kwiatom jest nieodzownie potrzebnem, że rośliny, stojące choćby o metr dalej od okna, już mniejsze mają listki i kurczowo się skręcają, byle tylko do słońca się dostać. Wiadomo także, iż kwiatom potrzebne jak najczęstsze wietrzenie, lecz przeciąg szkodzi im, jak ludziom. Więcej jeszcze błądzi się przy podlewaniu. Podlewać powinno się wodą przestałą, lecz nie przegotowaną i to nie wedle jakiejś zasady z góry przyjętej, np. raz dziennie, lecz tylko wtedy, gdy ziemia zaczyna być suchą. Ogromnie często grzeszy się u nas używaniem za wielkich wazoników. Roślina dopiero wtedy zaczyna bujnie rozrastać się, gdy korzenie dosięgną ścian wazonika, bo wtedy jest najłatwiejszy przystęp powietrza, koniecznego do ich życia.

Dlatego wszelkie nasiona, odsadki (zrazy) powinno się sadzić w jaknajmniejsze wazoniki, a przesadzać powinno się w wazonik o tyle tylko większy, by stary wazonik w nowym mógł się zmieścić.

Skoro już mowa o przesadzeniu, a teraz właśnie pora najodpowiedniejsza, warto tu dać kilka wskazówek. Przesadzać powinno się wtedy, gdy wegetacya rośliny osłabła, gdy niezbyt wiele jest młodych, niedojrzałych pędów i listków. Po przesadzeniu nie powinno się rośliny wiele podlewać, ale zato często kropić. Kropienie wogóle jest dla roślin bardzo korzystne; dla osiągnięcia tego samego celu, dobrze także obok roślin postawić kilka płaskich naczyń napełnionych wodą. Przesadzoną roślinę powinno się nadto trzymać przez pewien czas w miejscu półjasnem. Teraz, na wiosnę, taże najlepsza pora na odsadzanie roślin. Na odsadki (zrazy) powinno się wybierać gałązki już prawie dojrzałe, najlepiej wprost wyrastające z przeszłorocznego pnia. Tam, gdzie młoda gałązka łączy się ze starą, ucina się ją równem cięciem (tylko przy równem cięciu wypuszcza łatwo korzenie), a następnie wsadza się w mały wazonik w piaszczystą ziemię. Następnie pokrywa się kloszem szklanym, lub szklanką, dla zatrzymania wilgoci i trzyma się w miejscu półjasnem, aż widocznem jest, że roślina się przyjęła.

Wspomnę jeszcze, że powinno się kwiaty chronić przed kurzem, że do młodych roślin nie powinno się z reguły używać zbyt dobrej, tłustej ziemi. Niejednego przy hodowli kwiatów zraża odmienność pory wegetacyjnej każdej rośliny, przez co cały efekt się psuje. Otóż ktoby chciał przez cały rok mieć stolik pokryty bujną zielenią, temu niech posłużą następujące wskazówki. Przedewszystkiem polecam roślinę *asparagus sprengeri*. U każdego ogrodnika tanio można nabyć młode roślinki. Ziemi wymaga średniej, zlekka pomieszanej z piaskiem. Gdy się trochę wzmocni, rozwija nadzwyczajną siłę wegetacyjną i wypuszcza mniejwięcej co 2 miesiące po kilka nowych gałązek. Długość gałązek zależy od wieku rośliny i od jej położenia względem słońca. Ja sam doczekałem się metrowych gałązek, ale widziałem okaz, którego jedną gałęzią okręcono ogromne okno wystawowe. Gałązki te wkrótce pokrywają się kiścią drobniutkich igiełek, zwieszają się ze stolika i stanowią wspaniałą ozdobę pokoju. Nadmienić muszę, że jest to nadzwyczajnie wytrzymała roślina. Postawcie nadto na stoliku kilka tradeskaucyj, które mają listeczki ze spodu fioletowe, z wierzchu w paski zielono-białe, kilka „wąsów polskich," które tak łatwo rosną i tak łatwo odsadzone się przyjmują, dodajcie kilka pelargonii, jedną akacyjkę pokojową, a wkrótce przy dobrej pielęgnacyi stolik pokryje się bujną zielenią, która zakryje wazoniki, otoczy stolik aż prawie do podłogi i trwa bez przerwy... Pokój żywiej i piękniej ozdobiony, niż niejedną drogą makatą, lub obrazem, a koszt nieznaczny. Wspomnieć tu jeszcze muszę o tak tanim isolepisie, roślince o cieniutkich, długich źdźiebełkach, która musi stać w miejscu półciemnem i wymaga koniecznie ciągłej wilgoci, a pod tymi warunkami bardzo dobrze trzyma się w pokoju. Wspomniałem wyżej o akacyi pokojowej. Otóż tylko nieznajomości naszej publiczności przypisać należy, że tak rzadko można ją spotkać po naszych domach. Bardzo łatwo wyhodować ją z ziarnek.

Przed sadzeniem można je trzymać 36 godzin w wodzie, aby napęczniały i nie leżały zbyt długo w ziemi. Następnie sadzi się po jednem ziarnku w malutki wazonik (mający 4 cm. w górnym przekroju) napełniony lekką ziemią zmieszaną z piaskiem. Ziarna nie powinno się zbyt głęboko wkładać w ziemię — i oto znowu jedna ogólna zasada ogrodnicza. Mniej więcej za dwa tygodnie zaczyna ziarno kiełkować, a wtedy przykrywa się wazonik szkłem posypanem zlekka piaskiem dla ochrony nie przed światłem, które konieczne potrzebne, ale przed palącą siłą promieni słonecznych, jednakże tak, by powietrze miało wolny dostęp. Wogóle wszystkie młode roślinki należy trzymać jasno, a chronić przed prostemi promieniami słońca. Gdy akacya dosięgnie 1 cm. wysokości, należy ją przesadzić i potem już wymaga ona (w tydzień po przesadzeniu) jak najwięcej słońca. Już w ciągu roku mamy półmetrowe rozłożyste drzewko, pokryte cudnemi, delikatnemi listeczkami, a za dwa lata egzemplarz okazowy ma przeszło 1 m. wysokości. Dodać tu należy, że do pokojowej kultury najwięcej nadaje się „Acacia lophanta". Tyle o roślinach liściastych.

Co się tyczy roślin kwiatowych, to oprócz zasad ogólnych, wyżej podanych, niejedna wymaga specyalnej opieki. Nawiasem tylko wspomnę, że przy przesadzaniu róży dobrze do żyznej ziemi, zmieszanej z piaskiem, dodać kawałek zwietrzałej gliny, że róże i pelargonie najlepiej odsadzać w lipcu, że odsadki gwoździków przyjmują się nadzwyczaj łatwo o każdej porze roku, byleby miały ciągle dostateczną wilgoć.

W końcu jeszcze jedna zasada ogólna, a mianowicie, że bardzo często psują się rośliny przez zły odpływ wody i dlatego powinno się przy przesadzaniu na spód wazonika położyć kilka płaskich skorupek z rozbitych wazoników, a rośliny (z wyjątkiem kilku stojących ciągle w wodzie, jak np. isolepis) nie stawiać bezpośrednio na podstawkach, ale czemś podeprzeć, by woda mogła swobodnie spływać.

Amator.



Dodatek Humorystyczny.

Z czego słynny jest nasz Poznań?

W Pacanowie kują kozy,
A znów Paryż słynie z mody,
Madryt — ze swych pań urody,
Z liczby żydów słynne Brody,
Sanok, że w nim robią wozy,
Wrocław z bankructw, Lwów z rabunków
Berlin — z licznych posterunków,
Londyn — z giełdy, Moskwa — z kawek,
Norymberga — ze zabawek,
Petersburg, — że przy nim Newa,
Z anarchistów zaś Genewa,
Essen — z armat, Bochnia — z suszów...
A Panama? z kapeluszów...
Peszt — z napitku, Wiedeń z — jadła(?),
Praga — ze swego „divadla“,
Oblęgorek — z właściciela!
No i innych jeszcze wiela.
— Każdy zdanie to podziela,
Że każdziutkie miasto, wioska,
O swą sławę wciąż się troska.
— Gdy każdy kąt jest znamienny
Z czegoż jest nasz Poznań słynny?
Czemże podziw gród nasz wzbudzi?
— Robią tutaj... „próżnych“ ludzi!

DOSTAŁEM.

Iks zabiera przy kieliszku znajomość z Zetem. Pod wpływem ruchu... kieliszków przyjaźń wzrasta tak szybko, że Zet pożycza od Iksa pieniędzy na dalszą bibę, przyczem daje Iksowi adres i prosi go, aby nazajutrz rano raczył przyjść do niego na śniadanko i pieniądze odebrać.

Nazajutrz jest niedziela. Iks przechwala się przed żoną, że poznał bardzo przyzwoitego człowieka.

— Dobrze to jest — mówi praktyczna niewiasta — ale dlaczego nie dałeś mi wczoraj pieniędzy na domowe wydatki?

— Pożyczyłem temu panu Zet; ale jestem właśnie zaproszony do niego na śniadanie i po odbiór długu. Dostanę pieniądze, dam ci.

Mija pół godziny, Iks powraca.

— Tak prędko? — dziwi się żona.

— Umhu... — mruczy małżonek.

— Pieniądze dostałeś?

— Dostałem — wybucha Iks — ale... po karku.

Iks, o czem mi wczoraj nie wspominał, jest żonaty, a ma żonę megerę, że niech ją! wpadła na mnie, że męża jej rozpajam i... wyrzuciła mię za drzwi...



Rady.

Wobec uciążliwych warunków bytu i wobec braku nadziei, aby uciążliwe te warunki odmieniły się kiedykolwiek na lepsze, rzecz prosta — słusznem jest twierdzenie, że żona winna dopomagać mężowi swemu w pracy, przysparzając wedle sił i możności grosza do ogólnej kasy małżeńskiej.

Otóż wobec tego:

Radzę więc oto dziewczynie,
Co chce męża adwokata,
Niechaj pisze na maszynie,
By zarobić na dukata.

Rzecz prosta, gdy handlowca
W sieć chce wplątać kokieterji
Niech studjuje (gdy nie owca)
Kurs podwójnej buchalterji.

Dobra żona humorysty
Niech nad kuchnią wciąż się biedzi,
Humor dobry, zdrowy, czysty,
Zgłodniałego nie nawiedzi.

Wreszcie naszych ziemian żony,
By mężowie mieli buty,
I dług żyda był spłacony,
Niech im niosą posag suty...



Aforyzmy humorysty „Pracy“.

Nie poddawaj się smutkowi, i nie gryź się niczem, bo byś się niebawem wszystkiem gryźć musiał.



Nie pożyczaj nigdy przyjaciołom pieniędzy, bo takim jest bieg świata, że pożyczając przyjacielowi, jedno z dwojga zawsze stracić trzeba — pieniądze lub przyjaciela.



Strzeż się bliźniego twego jak siebie samego.



Trzeba kuć przyjaciela — dopóki gorący.



Przemiany.

(Traktat filozoficzno-zoologiczny).

Gdy miał jeszcze drobne nóżki,
(Nieco słabe jak dwa pikle)
Ojciec „płaczkiem“ go nazywał —
Matka *bobrem* zwała zwykle.

W życia swego ósmym roku,
Już nie płakał mały Grzanek,
Więc mówiono o nim zwykle,
Że powolny jak *baranek.*

Lecz nadziei promień w życiu
Jest zwodniczym nieraz posłem —
Grzanuś w klasie miast prym trzymać,
Najzwyklejszym został... *osłem.*

Gdy w ostatniej siedział ławie,
(Zwykle tęsknił za... ustroniem),
To koledzy go z uśmiechem
Ociężałym zwali... *słoniem.*

Przemęczywszy tak lat kilka,
Wyszedł Grzanek ze szkół z płaczem...
Ożenił się lecz — niestety!
Wkrótce świat go zwał... *rogaczem!*

Na dobitkę własna żona,
Czyniąc ujmę mu w tytule,
Wciąż nań woła: — „*Wole, koniu,*
Martwa rybo! ośle! mule!“



Przysłowie.

Treść przysłowia każdziutkiego,
Słowo daję, błagą pószy:
Ongim wierzył w szczerość tego:
„Oko jest zwierciadłem duszy!“

I poznałem dziewczę. Oczy
Miała niby niezabudki,
Gładkie, miłe, czar uroczy
Wiał z nich... Namysł więc tu krótki.

Dziewczę słodką, również miłą
Mieć napewno musi duszę;
Ja kochałem szczerze, z siłą...
I cóż? Znoszę dziś katusze!

Na dnie duszy, właścicielki,
Dwóch tak słodkich zwierciadełek,
Drzemie zastęp kwasów wielki,
I nie jeden tkwi... djabełek!

Tracąc humor, myśl wesołą,
Spokój ducha, serca zdrowie,
Marszczę często gniewne czoło
I z wściekłością klnę... przysłowie!...



Myśli zaczadzonego filozofa.

Flegmatyk robi wszystko kolejno, jedno po drugiem, sangwinik — jedno przed drugiem, impetyk — dwie rzeczy razem, a melancholik — nic.

* * *

Najłatwiej to kobiecie zdobyć głośne imię: wychodzi za mąż za jaką znakomitość i sprawa załatwiona.

* * *

Jeżeliś głupi i milczysz — toś mądry, a jeżeliś mądry i nic nie mówisz — toś głupi.

* * *

By zostać zacnym i uczciwym człowiekiem, trzeba to robić w rzeczywistości, co najczęściej obietnicą się kończy.

* * *

Cóż dziwnego, że w małżeństwach tak często niema jedności — jest ich wszak dwoje.



Dział powieściowy.



Przedruk wzbroniony).

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

60) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Taka wspaniała kareta nie często się na tej pojawiała ulicy — to też wszystko, co żyło, wybiegło przed domy, aby się przypatrzeć pięknym koniom i błyszczącej liberyi stangreta. Józefina, nie chcąc zbytecznie zwracać na siebie uwagi, kazała stangretowi odjechać kilka ulic dalej, i zamierzała potem iść pieszo.

Pokój wdowy Fourier leżał na czwartem piętrze.

Józefina wchodziła wolno na schody. Takie nędzne mieszkanie nie było nowością dla niej, wszakże i ona, jako córka szewca Hilberta, nie mieszkała w Hernals lepiej.

I na tę myśl ogarnął duszę jej gorzki żal dla tego, który będąc jej ojcem, zmusił ją do spędzenia najpiękniejszych lat życia w takiej nędzy pomiędzy zbrodniarzami.

Gdy zapukała do drzwi, otworzyła jej śliczna, młoda dziewczyna, o czarnych włosach i błyszczących oczach.

— Wszakże jesteś Mignon Fourier — zapytała Józefina.

— Tak jest — odrzekła dziewczyna zdumiona wizytą tej pięknej pani.

— Matka twoja zaniewidziła nagle?

— Tak! — szepnęła Mignon, a w pięknych jej oczach ukazały się łzy.

Józefina weszła teraz do pokoju i zbliżyła się do biednej niewidomej siedzącej przy oknie.

— Lady Corrigan przysyła wam sto franków — rzekła, wsuwając jej w rękę pieniądze — i co miesiąc tyle wam dawać będzie!

Nieszczęśliwa kobieta nie chciała w pierwszej chwili uwierzyć, ale Józefina zapewniała ją w serdecznych słowach, że wszystko to jest prawdą.

— A więc istnieją jeszcze szlachetni ludzie na świecie, którzy pamiętają o biednych — szepnęła ociemniała. Widzisz Mignon, mówiłam ci, nie rozpaczaj — Bóg zlituje się nad nami. Mignon nie będzie teraz już potrzebowała sprzedawać kwiatów na bulwarach, ale lady Corrigan przyniesie na podziękowanie piękny bukiet. Czy pani myślisz, że lady nie obrazi się o to?

— Bynajmniej, ucieszy się nawet bardzo, — odrzekła Józefina.

Potem pożegnała wdowę i wyszła.

Ale zaledwie oddaliła się od domu o kilkanaście kroków, gdy nagle stanęła przed nią jakaś żebraczka, pokryta łachmanami, z miechem i małemi widłami w ręku. Zbierała ona zapewne odpadki rozmaite na ulicach — płaty — skorupy i wszystko to, co ludzie jako niepotrzebne, wyrzucają.

Ujrzawszy teraz elegancko ubraną młodą kobietę, zbliżyła się do niej i schyliła się pokornie.

— Parę groszy! daj mi pani parę groszy — zawołała ochrypłym głosem.

Licha jej francuzka wymowa zdradzała cudzoziemkę — ale na to Józefina nie zważała. Tylko głos żebraczki przeraził ją niezmiernie.

Milcząc, wyjęła z portmonetki franka i podała go kobiecie.

— Ach, tak dużo! — rzekła żebraczka. — Niech Pan Bóg panią błogosławi, niech ci da życie, zdrowie i jak najwię......

— W tejże chwili podniosła głowę i spojrzała na Józefinę.

— Cóż to! — krzyknęła. — Wszakże to — Józefina! Więc tutaj spotykamy się znowu!

Młoda kobieta cofnęła się żywo.

— No, no, nie uciekaj, — rozśmiała się stara wiedźma, — dawniej przecież zwałaś mnie matką! A teraz nie okazujesz mi wdzięczności za to, że cię wychowałam. Ty ubrana jesteś w aksamity i jedwabie, ja jestem żebraczką! Ale ja ci wszystko wybaczę, jeżeli się mną trochę zajmiesz! Jaki kapelusz! Jaki płaszcz! Znalazłaś więc kogoś, kto ci to kupił i kto ci trzyma powóz i konie — ha, ha.

— Dosyć, — przerwała Józefina szorstko. — Ja z wami nic już nie mam wspólnego, ale pomimo, że nie jestem bogatą, to chętnie dam wam wszystko, co mam przy sobie.

I wysypała jej w chciwie wyciągnięte ręce całą zawartość portmonetki.

Potem spuściła woalkę i szybko pobiegła dalej, Hilbertowa zaś poszła wprost do szynkowni.

— Przynajmniej nie śledzi mnie, — pomyślała Józefina zadowolona, wsiadając do karety.

Ale omyliła się! Hilbertowa dlatego tak spiesznie biegła do destylacyi, aby zawołać młodego chłopaka pijącego tamże wódkę w towarzystwie kilku do siebie podobnych opryszków.

— Luigi, Luigi! pójdź no prędko, — wołała już z daleka przez otwarte okno.

— Ruszaj sobie, stara czarownico, — krzyknął chłopak brutalnie. — Teraz nie mam czasu!

— Ale tu chodzi o dobry interes!

Luigi wstał teraz czemprędzej i wybiegł na ulicę.

— Widzisz tę strojną damę, — rzekła Hilbertowa, wskazując na Józefinę, — która skręca tam na rogu ulicy?

— Tak, widzę!

— Biegnij za nią Luigi i staraj się wyśledzić jej mieszkanie, potem ci wszystko opowiem! Skoro się dowiesz, gdzie mieszka, wróć do szynkowni ojca Kolumba, ja tu będę czekać na ciebie!

Luigi puścił się jak strzała i w jednej chwili stanął tuż za Józefiną.

Z niezmiernem zdumieniem ujrzał ją teraz wsiadającą do pięknej karety, i usłyszał wyraźnie, gdy zawołała do stangreta: „Do domu!“

— Nie namyślając się długo, wskoczył Luigi na żelazo, łączące obydwa tylne koła, i siedział tam skulony, zwyczajem małych, paryzkich uliczników.

Niejeden przejeżdżający stangret lub dorożkarz uderzył go batem, ale on na nic nie zważał.

Nareszcie kareta stanęła na Polach Elizejskich przed małą, piękną willą, Luigi zeskoczył ze swego niewygodnego siedzenia, i zaczekawszy, aż Józefina weszła do sieni, zbliżył się śmiało do drzwi i zadzwonił.

Wspaniale ubrany portyer otworzył drzwi.

— Czego chcesz? — zapytał ostro.

— Ach, wybacz pan, — rzekł Luigi pokornie, — przed chwilą zajechała tu pewna młoda, piękna dama...

— Tak, ale co tobie do tego?

— Nic, chciałem się tylko zapytać, czy to nie księżna Dolle, u której moja matka służyła. Jestem w wielkej biedzie, i dlatego chciałem — myślałem —

— To nie była księżna Dolle, — odrzekł portyer trochę łagodniej, — tylko panna Diana de Bassano, towarzyszka lady Corrigan. A teraz idź z Bogiem, ja ci pomódz nie mogę!

Luigi ukłonił się, spuścił smutnie głowę i odszedł.

— Więc Diana de Bassano, — rzekł sobie w duszy. — Towarzyszka żony mego przyjaciela Corrigan! Jaki dziwny przypadek! Wiem przynajmnej, gdzie szukać lorda!

Teraz wrócił do ojca Kolumba i opowiedział wszystko swej opiekunce.

— Diana de Bassano! — rozśmiała się jędza, — to dobre! A nazwisko lorda?

— Corrigan!

Hilbertowa zerwała się tak gwałtownie, że kieliszek z wódką przewrócił się na stole.

— Corrigan! — krzyknęła. — Hej, Luigi, świetne dla nas czasy nadeszły! Będziemy bogaci, Luigi, bogaci, słyszysz?

— Czy oszaleliście? — zawołał młody Włoch, odsuwając się od niej.

— Czy oszalałam? Może być, ale z radości! Lord Corrigan i Józefina -- ha, ha, to wyborne!

Ale pomimo ciekawych pytań chłopca nic więcej powiedzieć nie chciała.

Potem kazała przynieść jeszcze więcej wódki, i upiła się tak, że Luigi musiał ją wieczorem zanieść na plecach nieprzytomną do nędznej chaty, za miastem.

ROZDZIAŁ XC.
Wyrodny ojciec.

Lord Corrigan wracał w nocy z opery i w wybornym był humorze. Szedł pieszo, śpiewał pół głosem jakąś wesołą piosenkę, i już skręcał na Pola Elizejskie, gdy nagle jakaś postać kobieca stanęła przed nim.

— Lordzie Corrigan, — rzekła, — stara znajoma chciałaby się z tobą rozmówić!

Lord William stanął, i już wyciągał rewolwer z kieszeni, ale zaraz potem poznał, że to stara, slaba kobieta i że mu żadne nie grozi niebezpieczeństwo.

— Czego chcecie odemnie? — zapytał. — Teraz nie pora na żebranie, a jeżeli myślicie mi przemocą odebrać pieniądze, to się mylicie, bo ja mam rewolwer przy sobie!

— Schowaj go pan, —rozśmiała się stara, — i spojrzyj lepiej na mnie! Poznajesz mnie, milordzie?

Lord Corrigan schylił się, i przy świetle latarni patrzał długo na twarz kobiety.

— Nie, — rzekł w końcu, ja was nie znam!

— O, jaką złą pamięć mają wielcy panowie! Zmieniłam się wprawdzie troche z biegiem lat, ale powinieneś mnie pomimo to poznać, bo — bo —

— Nie znam was, — powtórzył lord niecierpliwie, — i jeżeli chcecie czego, to mówcie prędko.....

— No no! Pomogę trochę pamięci milorda! Nie wiesz pan jeszcze, kto jestem, jeżeli ci powiem, że widzieliśmy się już w Londynie — w pięknym pałacu. —

— Boże Wielki! — krzyknął teraz lord William, — więc to wy jesteście ową — kobietą — której —

— Której powierzyłeś dziecko, milordzie!

— Więc to wy — powtórzył lord drżącym głosem.

— A tak, ja!

— Gdzie wasz mąż?

— Nie żyje!

— A wy — czem się tu zajmujecie?

— Zbieram szmaty.....

— A gdzie — gdzie — jest, — mówił lord urywanym głosem — gdzie jest — dziecko? Wszakże ono —też umarło!

— Nie!

— Więc żyje?

— Milord nie wiesz tego? — zawołała stara szewcowa, śledząc pilnie wyraz jego twarzy.

— Zkądże ja mam o tem wiedzieć! Przecież wam je oddałem — wy mieliście je pielęgnować i czuwać nad niem!

—No, w takim razie wiedz milordzie, że córka twoja żyje! Cóż to, czy wiadomość ta jest panu nieprzyjemną? Wolałbyś słyszeć że umarła? Nie! Żyje ona, i jest bardzo piękną kobietą!

Lord Corrigan nie ucieszył się istotnie tą nowiną. Córka ,którą tak okrutnie wyrzucił z domu, była mu zupełnie obojętną, a nawet gdy usłyszał teraz o niej, uczul dla tego nieznanego sobie dziecka pewną nienawiść! Dopóki się lękał, że Ryszard zaślubi córkę biednego policjanta, zamierzał rzeczywiście szukać córki i uznać ją za własną, ale teraz, gdy Fanchon nie żyła i Ryszardowi z tej strony nic nie zagrażało, zwrócił znowu całą swoją miłość, do jakiej złe jego serce było zdolnem, synowi, i przeklinał w duchu nierozwagę, że zdradził tajemnicę swoją zamiany dzieci w obec żony. Nie było to wcale potrzebnem.

I musiał udawać, że szuka córki, chociaż dotąd jeszcze nic w tym celu nie uczynił, ale chciał przynajmniej zaspokoić tęsknotę i niecierpliwość żony. Łudził ją i okłamywał, jak mógł, a ona wierzyła mu i spodziewała się, że wkrótce odzyska swoje stracone dziecko.

W sercu jego wygasło już wszelkie uczucie, ustępując miejsca szalonej dumie i samolubstwu. Za nic w świecie nie byłby przystał na jakieś procesa, rozglaszające dramata rodzinne, i wolał się zdecydować na popełnienie zbrodni, niż na to, aby nazwisko jego tarzało się na sądach, w związku z skandalem. A gdyby się córka znalazła — ileż by to powstało ztąd plotek, procesów i nieprzyjemności!

Cóż go obchodziła córka, której nie znał? Miał syna i to mu wystarczało!

Na wiadomość Hilbertowej zadrżał ten nędznik ze strachu na myśl, że córka jego zażąda teraz swych należnych praw, i że świat dowie się o tem, co on niegdyś uczynił!

Nigdy! Raczej wszystko inne, tylko nie to!

— Gdzie — ona — jest? — zapytał nareszcie cicho.

— Zapłać mi dobrze, milordzie, to ci powiem!

Lord Corrigan miał dziś przypadkiem pieniądze przy sobie i dał jej kilka banknotów.

— Macie pięćset franków, — rzekł, — i powiedzcie mi, gdzie mam szukać mej córki!

— O, pięćset franków, to za mało! Daj mi pan pięć tysięcy!

— Nie dam tyle, — zawołał lord stanowczo i poszedł dalej.

— Do widzenia milordzie! Ale córka twoja zażąda kiedyś więcej od ciebie! Procesa też dużo kosztują!

Na te słowa zatrzymał się znowu lord William, i szepnął:

— Dam trzy tysiące, ale ani grosza więcej. Chcecie — to dobrze, a nie, też dobrze! Więcej nie dam!

— No, to dawaj pan!

— Kto mi jednak zaręczy, — rzekł, — że powiecie prawdę? Może dziecko umarło, a wy przyprowadzicie mi teraz inną jaką dziewczynę w jej wieku!

— Dam panu dowody, a gdy zobaczysz córkę, poznasz ją! Dziwię się nawet, że jeszcze jej dotąd nie poznałeś, dosyć często patrzysz na nią.....

Lord Corrigan wręczył jej teraz pieniądze.

— Gdzie moja córka? — zawołał rozkazująco.

— Szukaj jej milordzie — w twoim własnym domu!

Lord Corrigan spojrzał na szewcową tak, jak gdyby nie rozumiał jej słów.

— W moim domu? — powtórzył.

— Zdaje mi się, że mówiłam dosyć wyraźnie!

— Kłamiesz! U mnie w domu jest tylko moja żona, towarzyszka jej, Diana de Bassano, i służba!

— Bardzo słusznie. Diana de Bassano jest twoją córką, milordzie!

Lord William zachwiał się, jak gdyby go niewidzialna ręka uderzyła w głowę.

— Więc to ona! — szepnął. — Pod obcem nazwiskiem! Tak, teraz poznaję ją! Ona jest do mnie podobną — — że ja też tego prędzej nie zauważyłem! Moja córka! Rozmawiałem z nią — żona moja kocha ją — ach — to dziwne — doprawdy!

— Bardzo dziwne, — rozśmiała się wiedźma.

— Ale czemu ona inne przyjęła nazwisko? Chciała pewnie najpierw pozyskać nasze zaufanie, zbadać wszystko dokładnie — oh, żmija fałszywa!

— Tak, Józefina, bo takie jej imie, jest zręczną komedyantką, — podburzała szewcowa. — A zresztą, ona może sama nie tyle winna, jak inni! Kto wie, czy ktoś inny, chcąc panu zaszkodzić, nie użył jej za narzędzie!

— Jestem zgubiony! Co świat na to powie! Nazwisko moje jest shańbione.... — biadał lord.

— O nie, bynajmniej! Nie trzeba tylko zaraz tracić odwagi!

— Więc wymyśl jaki sposób usunięcia tej dziewczyny!

— Zabić? — szepnęła kusicielka cicho.

— Nie! nie! przecież to moja córka!

— W takim razie wymyśl pan sam coś dobrego, a jeżeli będziesz potrzebował mej pomocy, usłużę ci chętnie! Ja się niczego nie ulęknę — pchnięcie sztyletem, trucizna — wszystko to jest dla mnie drobnostką!

Lord Corrigan zadrżał mimowoli. Ta kobieta wychowała jego córkę!

— Gdzie mieszkacie? — zapytał.

Hilbertowa opisała mu dokładnie swoją chatę.

— Mieszkam tam z pewnym młodym chłopcem, — dodała, — który się djabła nawet nie boi! Najlepiej przyjdź pan o wschodzie słońca do mnie, bo w nocy wychodzimy na robotę. Żegnam cię milordzie!

I znikła jak cień pomiędzy drzewami.

Lord Corrigan wracał do domu, najsprzeczniejszemi miotany uczuciami.

Ale gdy rano ukazało się słońce na niebie, wiedział już lord, jak postąpi względem Józefiny.

Wyrodny ojciec postanowił śmierć własnej córki.

ROZDZIAŁ XCI.

Straszne odkrycie.

Cesarzowa Elżbieta zamierzała wyjechać z Paryża.

Zamiar ten powstał bardzo nagle, ale służba była już do tego przyzwyczajoną. Czasem tam właśnie, gdzie się cesarzowej najwięcej podobało, został wydany rozkaz natychmiastowego pakowania rzeczy, i w przeciągu godziny jechała cesarzowa do innego miasta, a nawet do innego kraju.

Nie umiała ona sobie wytłumaczyć tej gorączki podróżowania, ale nie umiała jej się też oprzeć. I tak wydał jej się Paryż, który bardzo lubiła, nagle za ciasnym, za dusznym, za krzykliwym, i zatęskniła teraz do ciszy, spokoju i samotności. I to na jednem tylko znaleźć mogła miejscu.

Na Korfu!

Był to jej raj na ziemi, do którego uciekała zawsze, gdy czuła się zmęczoną i smutną.

Wyspę tę lubiła Elżbieta nad wszystkie pałace i zamki, i podczas swego obecnego pobytu w Paryżu powzięła zamiar wybudowania tam pałacu, ku wspomnieniu największego bohatera greckiego, którego imie chciała pałacowi nadać.

I teraz nie miała już ani jednej chwili spokojnej, jak najprędzej pragnęła udać się na wyspę i wyszukać odpowiednie miejsce do swego czarodziejskiego pałacu.

Felicyą postanowiła zabrać ze sobą, zresztą nie miał jej nikt towarzyszyć.

W tym celu kazała zawołać Felicyi.

Młoda kobieta przyszła natychmiast, ale twarz jej była śmiertelnie bladą, a oczy pełne łez.

— Co ci się stało? — zapytała cesarzowa troskliwie. — Czujesz się chorą?

Felicya spuściła głowę i milczała.

— Powiedz mi, — mówiła Elżbieta dalej, — co ci jest? Jeżeli nie czujesz się zdrową, poślę po Tritoniego.....

— Nie, Najjaśniejsza Pani! — wyjąkała Felicya, — mnie żaden doktor pomódz nie może!

— Więc ja ci pomogę! Ja wiem, że wspomnienie przeszłości męczy cię ciągle.....

— Nie, nie, mnie już nikt nie pomoże, — jękła Felicya z rozpaczą.

— Ah, tak źle nie będzie, — uśmiechnęła się cesarzowa. — Wyjedziesz ze mną z Paryża, może jeszcze Nelly pojedzie z nami, i udamy się na Korfu! Byłaś tam już raz ze mną, wiesz zatem ,jak tam pięknie! Prawda, to najlepsze lekarstwo na zbolałą duszę, wiem to z własnego doświadczenia!

Felicya westchnęła ciężko i zaczęła płakać.

— Nie płacz, — prosiła Elżbieta, — idź raczej i przygotuj wszystko do wyjazdu. Dziś wieczorem opuszczamy Paryż!

— Ale ja — nie — mogę jechać!

— Czemu?

— Ach, Najjaśniejsza Pani, nie żądaj odpowiedzi! Pozwól mi odejść ztąd, wypędź mnie — ja nie jestem godną służyć ci dalej.....

— Nie rozumiem tego i żądam stanowczo wyjaśnienia, — rzekła cesarzowa rozkazująco.

Felicya rzuciła się na kolana.

— Jeżeli mi Najjaśniejsza Pani każesz, — zawołała, — to muszę usłuchać, muszę wyznać moją hańbę — ach, serce mi pęka na myśl o tem! Otóż, — dodała ciszej, — czuję się matką dziecka najgorszego w świecie zbrodniarza!

Cesarzowa cofnęła się i bladła.

— Biedna Felicyo, — szepnęła czule, — nie dosyć jeszcze nieszczęście prześladuje ciebie!

— Nie przemawiaj Najjaśniejsza Pani do mnie w ten sposób, — zawołała Felicja, zrywając się, — bo ja jestem wyklęta z grona uczciwych ludzi! Myslałam, że zapomnę mej przeszłości, myślałam, że zdołam się podnieść z upadku, ale teraz widzę, że to wszystko daremnie. Czem będzie dziecko mordercy? Ach, ja nienawidzę tego dziecka teraz już, chociaż wiem, że ono niewinne i nie odpowiada za to, że ma ojca mordercę! Ale Bóg karze w dzieciach grzechy rodziców! Od chwili, gdy uczyniłam to straszne odkrycie, znikł mój spokój i jednę mam tylko myśl, ukrycia się w jakim odludnym kącie świata.....

— Jak możesz nienawidzieć dziecka, które się jeszcze nie urodziło, — przerwała cesarzowa surowo.

— Ach, uwielbiałabym je, gdyby ojcem jego nie był Pedro de Branko!

— Ale dla tego właśnie powinnaś tę niewinną istotę więcej kochać i starać się wychować ją tak, aby nie była podobną do ojca. Bóg powołał cię do wielkiego i świętego zadania, musisz je godnie wypełnić!

— Przysięgłam sobie, — rzekła Felicja, płacząc gorżko, — że wychowam to dziecko w pracy i biedzie, i nie dam mu poznać żadnych przyjemności świata! Gdybym mogła ukryć przed niem pieniądze, uczyniłabym to natychmiast, bo tylko żądza złota popchnęła jego ojca na drogę występku. Dla tego zamierzam udać się gdzie na wieś, do ludzi, którzy nie znają nic innego, jak ciężką robotę, którzy w pocie czoła jedzą chleb suchy, i którzy nic nie wiedzą o pokusach wielkoświatowych. Tam ma się wychować moje dziecko, nie wiedząc, kim jest ojciec jego, niech będzie prostym wieśniakiem lub wieśniaczką, byleby było uczciwem!

— Pochwalam twój zamiar, — rzekła cesarzowa, — ale przyrzeknij mi, że bez mej wiedzy nic nie uczynisz! Zresztą pozostaję przy tem, że dziś na wieczór wyjeżdżamy na Korfu!

Felicja wyszła z salonu.

— Drzwi raju zamknięte za mną, — pomyślala z rozpaczą. — Ja nie mogę tu dłużej pozostać, pod żadnym warunkiem!

Potem udała się do swego pokoju i zaczęła układać rzeczy w dwa kufry.

W jeden, wielki, włożyła wszystkie stroje, które jej cesarzowa w przeciągu tych kilku tygodni podarowała, w drugi mały, zapakowała trochę bielizny i kilka przedmiotów, które jej bardzo były drogie.

W końcu napisała na kartce:

„Wszystkie moje suknie i klejnoty rozdać pomiędzy ubogich'', i przylepiła to na dużym kufrze, następnie ubrała się w czarną skromną suknią i taki sam kapelusz, wzięła mały kuferek, i była gotową do podróży.

W portmonetce miała kilkaset franków i te jej wystarczały.

Głębokie wzruszenie ogarnęło ją, gdy zabierała się do odejścia.

— Czy ja nigdy nie pożałuję tego kroku, — myślala. — Nic mnie nie zmusza do porzucenia mego stanowiska, którego mi setki tysięcy kobiet zazdrości, opuszczam dobrowolnie najszlachetniejszą w świecie cesarzową — a jednak zostać tu nie mogę! Nie mogę! Muszę ukryć moje dziecko przed ludźmi, dla jego własnego dobra!

Teraz nie namyślała się już dłużej. Zasłoniła twarz woalką i wyszła na kurytarz.

Z drugiej strony biegła Nelly, uśmiechnięta, wesoła, i obojętnie spojrzała na przechodzącą koło niej Felicyą.

Nie poznała jej.

Przed hotelem zatrzymała się Felicya raz jeszcze, jak gdyby nie wiedziała, czy się wrócić, czy iść dalej, ale zaraz potem westchnęła ciężko i — poszła!

* * *

Cesarzowa kazała dziś podać obiad o piątej, o siódmej bowiem odchodził już pociąg, którym chciała wyjechać do Marsylii. Do obiadu przychodziły tylko zawsze obiedwie damy dworskie, cesarzowa nie lubiła większego towarzystwa, więc też w pięknej, obszernej sali jadalnej było nakryte tylko na trzy osoby.

Z uderzeniem piątej weszła cesarzowa do sali, gdzie Nelly głębokim powitała ją ukłonem.

— Zdaje mi się, — rzekła cesarzowa wesoło, — że dziś dobry będę miała apetyt. Jestem w moim humorze podróżnym, i czuje się o wiele żwawszą. Każ podać zupę. Ale gdzie Felicya? Ona nigdy się jeszcze nie spóźniła! Nie widziałaś jej, Nelly?

— Nie, Najjaśniejsza Pani. Zapukałam poprzednio do drzwi jej pokoju, ale nie otrzymując odpowiedzi, odeszłam. Myślałam, że może śpi i nie chciałam jej przeszkadzać!

— Bardzo słusznie, ona jest niezmiernie zdenerwowana i potrzebuje wypoczynku. Ale teraz idź do niej, i powiedz, że czekamy na nią z obiadem!

Nelly wybiegła z salonu i udała się natychmiast do pokoju Felicyi.

Zapukała raz jeden i drugi, najpierw lekko, potem mocniej, ale żadnej na to nie otrzymała odpowiedzi.

— Co jej się stało? — pomyślała zaniepokojona. — Czy chora? czy wyjechała? To być nie może! Sama nie wyjeżdża nigdy!

I nacisnąwszy klamkę, weszła do pokoju.

— Wielki Boże! — zawołała głośno, na widok otwartych szaf. — Ona uciekła!

Teraz też spostrzegła kufer i przeczytała przylepioną na nim kartkę.

— Ach! — szepnęła, — to rodzaj testamentu, a testament robią tylko umierający!

Blada i drżąca wróciła Nelly do salonu, cesarzowa zaś poznała zaraz, że stało się coś nadzwyczajnego.

— Gdzie Felicya? — zawołała niespokojna.

— Nie ma jej — uciekła!

— Nieszczęśliwa! O jak gorżko ona tego żałować będzie! Obawiam się, że już jej więcej nie zobaczymy!

I z pięknych oczu cesarzowej gorące spływały łzy.

— Może by ją gonić — policya wnet ją znajdzie, — szepnęła Nelly nieśmiało.

Cesarzowa zamyśliła się na chwilę.

— Nie! — rzekła stanowczo, — nie chcę jej przemocą zatrzymywać przy sobie. Ja wiem, ile ją krok ten kosztował, i wiem, dlaczego tak uczyniła! Jej przeznaczenie zmusza ją do tego, a z przeznaczeniem nikt walczyć nie może!

ROZDZIAŁ XCII.

Malarz i nihilistka.

Tydzień później znajdujemy Felicyą w Moskwie, w dawniejszej dzielnicy chińskiej, Kitai-Gorodzie!

W ogromnym domu, prawdziwych koszarach, wynajęła ona tu sobie mały pokój od podwórza. Było to inne mieszkanie niż to, które zajmowała w Grand Hotelu w Paryżu!

Wyjazd do Rosyi nie był dla niej łatwym, bo nie posiadała paszportu. Ale bawiąc dłuższy czas w Petersburgu, a potem w Osternie poznała stosunki rosyjskie o tyle, że wiedziała, jak sobie w danym razie poradzić.

Postarała się więc o kogoś takiego, kto ją przez granicę bez paszportu przeprowadził. Był to pewien kupiec z Katowic na Górnym Śląsku, który interes ten oddawna już prowadził i grube na nim zarabiał pieniądze.

Felicya zapłaciła chętnie pięćdziesiąt rubli, bo tyle kosztowało tajemne przejście granicy, i wraz z ośmioma innymi podróżnymi siedziała na wozie, mającym ich przewieść do Rosyi. Droga była jednostajna i nudna, podróżni musieli milczeć i tak zajechali po kilku godzinach do jakiegoś małego, rosyjskiego miasteczka.

Tu udała się Felicya na dworzec i pojechała wprost do Moskwy, gdzie jako Felicya Barin, aktorka, wynajęła pokój w Kitaj-Gorodzie. A gdy gospodarz domu zażądał od niej papierów celem zameldowania jej na policyi, powiedziała mu, że zgubiła je na granicy i że pójdzie do konsula austryackiego z prośbą, aby jej wystawił nowe.

Gospodarz zadowolił się tem, i kontent z porządnej lokatorki, która mu z góry zapłaciła za cały kwartał, nie pytał już o nic.

Dziwne to musiały być powody, dla których Felicya do Moskwy przybyła.

Wychodziła teraz bardzo wiele na miasto, przebywała w restauracyach, które studenci najwięcej odwiedzali, a nawet obcięła krótko swoje bujne jasne włosy, zupełnie tak samo, jak rosyjskie studentki!

I nie trwało długo, a w całej tej dzielnicy nazwano ją „jasnowlosą nihilistką.“

Bo że była nihilistką, o tem nikt, kto ją widział, nie wątpił.

Felicya nawet nie taiła się z tem wcale — w restauracyi bowiem czytała zawsze jakieś broszury i pisma, sprzyjające socyalistom i nihilistom i trzymała je tak, że każdy mógł wygodnie tytuł przeczytać.

Czasem przynosiła gazety, w Rossyi zakazane, a gdy gospodarz restauracyi zwrócił jej na to delikatnie uwagę, rozśmiała się szyderczo, i schowała gazety do kieszeni.

Nic dziwnego też, że wkrótce zawarła znajomość z kilku studentami, w których na sto kroków poznać było można zagorzałych nihilistów.

Ale i policya zwróciła na nią swoją uwagę, nie wiedziano tylko jeszcze dokładnie, czy Felicya była niebezpieczną nihilistką czy też fantastką, która nikomu zaszkodzić nie mogła.

W każdym razie obserwowano ją i zapytano w Wiedniu, o akta osobiste Felicyi Barin.

Po pewnym czasie zaczęła Felicya kupować w aptekach i drogerniach materyały, potrzebne do fabrykowania bomb i teraz zajęła się policya nieco pilniej „jasnowłosą nihilistką.“

Ale Felicya zawarła chociaż jedną znajomość, która jej wobec policyi nie kompromitowała.

Był to młody malarz, mieszkający w tym samym domu, Boris Gordon, który pochodząc z bardzo wysokiej, ale podupadłej rodziny, malował obrazy i czuł się niezmiernie szczęśliwym, gdy mu się udało jakie dzieło sprzedać.

Obecnie był on w bardzo przykrem położeniu pieniężnem, nie miał ani grosza i nie pozostawało mu nic innego, jak tapetować pokoje, jeżeli nie chciał umierać z głodu.

Ujrzał on przez okno Felicyą, i nie musiałby być malarzem, gdyby piękna jej głowa nie była wzbudziła w nim żywego zajęcia. Zbliżał się często do okna pod pozorem mieszania farb, w rzeczywistości zaś chciał tylko patrzeć na swoją śliczną sąsiadkę.

Po tygodniu zaczął jej się kłaniać, a potem razu pewnego, zapukał po prostu do drzwi jej mieszkania.

Felicya była oburzona tą śmiałością, ale chociaż w ostatnich kilku latach nie zważała wcale na to, czy mężczyzna był piękny, czy nie, musiała przyznać, że Borys Gordon nadzwyczaj przystojnym był młodzieńcem.

— Przepraszam panią, — rzekł nieśmiało młody artysta, — że przychodzę tutaj. Wiem, że wykraczam przeciwko zwyczajom świata, ale czynię to w interesie mej ukochanej sztuki.

Felicya uśmiechnęła się mimowoli.

— Mam do pani wielką prośbę, — mówił Borys dalej, — od chwili, w której panią po raz pierwszy ujrzałem, chciałem głowę twoją malować z pamięci, ale to mi się nie udało! Nie chciałabyś mi pani pozować kilka razy do sportretowania siebie? Byłbym ci niezmiernie za to wdzięczny!

— Mój panie, — odrzekła Felicya, — jeżeli pan chcesz użyć mej twarzy do jakiego obrazu, to musi to być obraz bardzo poważny. Jeżeli chcesz malować oczy, które dużo łez przepłakały to maluj moje oczy!

— Pani jesteś nieszczęśliwą! Domyślałem się tego! Znalazłaś we mnie towarzysza niedoli!

I opowiedział jej historyę swego życia.

Urodził on się jako syn hrabiego w pałacu, ale matka umarła, gdy liczył lat czternaście, a ojciec, nie czekając nawet końca żałoby, ożenił się po raz drugi.

Ale jak okropny zrobił wybór!

Pewnego dnia znalazła się przed pałacem młodziutka cyganka, piękna, czarnowłosa, a fałszywa i podstępna jak żmija!

Matka Borysa żyła jeszcze wówczas. Przyjęła ona litościwie na pół umarłą z głodu i zimną cygankę, pielęgnowała ją, i gdy wyzdrowiała, dała jej do wyboru — albo mogła odejść znowu w świat, albo zostać w pałacu.

Melita, takie było imie cyganki, została, na nieszczęście tej szlachetnej i zacnej kobiety.

(Ciąg dalszy nastąpi).





POD PRUSKIM ZABOREM.

Napisał RENÉ BAZIN.

6) *Tłomaczyła J. P.*

(Ciąg dalszy.)

Kiedy spostrzegł Jana Oberle, znanego mu od dziecka, na twarzy jego odmalowało się zdziwienie.

— To ty, chłopcze — przemówił w dyalekcie alzackim, częściej przez niego od francuszczyzny używanym — cóż cię tu sprowadza?

— Tylko to, że wróciłem.

Wyciągnął rękę, a Bastian uścisnął ją i nagle stracił wesołość, z jaką powitał Jana, bo pomyślał: „Od lat dziesięciu ojciec twój progu mego domu nie przestąpił, od dziesięciu lat jesteśmy sobie wrogami."

Głośno zaś rzekł, jak gdyby sobie sam odpowiadał i trudność jakąś rozwiązywał.

— Pomimo to, wejdźże Janie, raz jeden.

Ale zadowolenie, okazane w pierwszej chwili, zniknęło i nie pokazało się więcej.

— Zkąd pan wiedział, że tu wszedłem? Usłyszałeś mnie pan?

— Nie, usłyszałem kosa. Sądziłem, że to służący wraca z Obernai, zkąd miał przynieść naprawione latarnie do powozu. Chodź mały! — A w duchu dodawał z uczuciem żalu i oburzenia: „wejdź, jak tu wchodził twój ojciec, gdy na to jeszcze zasługiwał"...

Weszli na korytarz; Bastian otworzył drzwi wiodące do „sali"; była to jednocześnie jadalnia i salon w domu bogatego mieszczanina, dziedzica szmatu ziemi i tradycyi pozostałej po całym szeregu przodków, którzy dom rodzinny w Alsheimie opuszczali wtedy dopiero, kiedy wynosili ich na cmentarz miejscowy.

Malowniczości starodawnego umeblowania, spotykanej jeszcze tu i owdzie w domach alzackich, nie było już tutaj. Zniknęły szafy rzeźbione, krzesła o poręczach z wyciętem w nich sercem, zegar szafkowy malowany. W jasnym, czworokątnym pokoju stały nieliczne krzesła, stół, szafa, kredens; wszystko z orzecha polityrowanego; na wierzchu kredensu stał posąg Matki Boskiej, miernego dłuta.

Starożytność domu wcieliła się tu jedynie w piec z fajansowych malowanych kafli, roboty majstra Hugolina ze Strasburga. Ten piec dumą napełniał pana Bastiana, to też strzegł go niby skarbu. Między piecem a stołem siedziała czarno ubrana kobieta, lat około pięćdziesięciu, dość tęga; rysy miała regularne, choć trochę zgrubiałe, otoczone pasmem gładko uczesanych siwych włosów; czoło rozwinięte, prawie bez zmarszczek, brwi pięknie zarysowane, oczy ciemne, południowe, a spokojne, dumne. Spojrzała niemi na Jana, a potem na męża, jakby pytając: „A ten po co tu przyszedł?"

Obrębiała w tej chwili prześcieradło płócienne, którego fałdy ją otaczały. Na widok gościa upuściła robotę. Oniemiło ją zdumienie: po co jej mąż wprowadzał tego wychowańca Niemiec, syna odstępcy, przecież w ostatniej wojnie z Prusami zginęło jej trzech braci.

— Szedł do nas, spotkałem go przed domem, Maryniu odezwał się pan Bastian.

— Witam panią — rzekł Jan, którego dotknęły chłód i zdumienie gospodyni domu. — Sprowadziły mnie tu dawne wspomnienia — dodał, stając zmieszany na progu.

— Dzień dobry, Janie....

Te słowa zabrzmiały tak cicho, tak niewyraźnie, że nie dosłyszały ich pewno przeciwległe ściany. A potem nastąpiło milczenie okrutne; Jan pobladł. Przerwał ciszę pan Bastian, który, stojąc za nim, zganiącą prośbą patrzył w dumne oczy nieubłaganej Alzatki.

— Zapomniałem powiedzieć ci, Maryniu, że spotkałem dzisiaj Ulrycha. Od niego dowiedziałem się o powrocie Jana. Zaręczał mi, że wszyscy powinniśmy się cieszyć z tego powrotu... To nasz człowiek...

Milczące usta gospodyni zadrgały uśmiechem niedowierzania tak krótkim, jak jej powitanie. Wzięła się znów do szycia. Jan odwrócił się ku panu Bastianowi, blady, więcej rozżalony, niż gniewny, i rzekł półgłosem:

— Wiedziałem o niezgodzie, dzielącej nasze rodziny, ale nie przypuszczałem, żeby aż do tego stopnia... Od tak dawna nie byłem w Alsheimie... Proszę mi wybaczyć, że przyszedłem.

— Nie odchodź, chłopcze, nie odchodź... Wszystko ci wytłómaczę. Wierzaj mi, że nic przeciwko tobie nie mamy, ani ja, ani moja żona.

I położył mu po przyjacielsku rękę na ramieniu.

— Tak się rozstać nie możemy. Przyszedłeś do nas, a ja chcę, abyś wyszedł ztąd bez żalu... Toby mi ciążyło... Nie chcę...

— Nie, panie Bastianie, jestem tu gościem zbytecznym, nie mogę zostać dłużej.

Szedł ku drzwiom. Przytrzymała go jednak silna ręka mera Alsheimu, a głos starca nabrał siły i stanowczości.

— Zaraz. Skoro już jesteś pod moim dachem, musimy zastosować się do naszych zwyczajów, do zwyczajów, przyjętych zresztą w całej Alzacyi. Janie Oberle, musimy trącić się kieliszkiem, albo znać cię nie chcę i ukłonu nawet od ciebie nie przyjmę!

Jan przypomniał sobie, że dom Bastianów przodował innym w wyrobie różnych nalewek. Odmowa obraziłaby niewątpliwie starego mera, a z drugiej strony, przyjmując jego zaproszenie, mógł wyrazić swoją życzliwość, nie uchybiając słowom, a zapewne i myślom gospodyni domu, królowej tego ogniska, niemej i obcej mu, dlatego, że był synem Józefa Oberle.

— Dobrze — odparł.

W tej chwili pan Bastian zawołał:

— Otylio!

Ręce pani Bastian opadły na jej czarną suknię i przez kilkadziesiąt sekund trzy dusze ludzkie w różnym nastroju oczekiwały tej, która wejść tu miała przez drzwi z prawej strony, tuż obok kredensu. Weszła, wynurzyła się z cienia sąsiedniego pokoju, wstąpiła w jasność sali, a Jan całą siłą hamował wzruszenie, myśląc: „Jak to dobrze, że o niej nie zapomniałem!"

— Podaj nam najstarszą, jaką masz w szafce, nalewkę — rzekł ojciec.

Otylia Bastian najpierw uśmiechnęła się do ojca, potem ruchem brwi ciemnych wyraziła zdziwienie, połączone z zadowoleniem, spostrzegając Jana Oberle; uśmiech jednak zniknął z jej twarzy, gdy ujrzała matkę zajętą szyciem, nie biorącą żadnego udziału w przyjęciu gościa. Pierś jej wzniosła się westchnieniem, a słowa na ustach zamarły. Otylia Bastian zrozumiała położenie i taktem kobiecym wiedziona, nie chciała podkreślać jego charakteru; w milczeniu więc spełniła rozkaz ojca.

Wyjęła klucz z szuflady w komodzie, podeszła do kredensu i z głową w tył odchyloną, wspinając się na palcach, oparła się ręką o blat i zaczęła szukać odpowiedniej nalewki. Taką, jaką była teraz, tylko mniej rozwiniętą, Jan widział w swych długich, dawnych marzeniach. Nie była pięknością klasyczną, ale miała swoją odrębną, bujną piękność. Przypominała posągi Alzacyi, widziane na pomnikach, te postacie kobiece, pochodzące ze zdrowego rycerskiego rodu; umieją one oburzać się i stawiać czoło tam, kędy słabsza Lotaryngia tylko łzy roni. Jak wszystkie Alzatki, miała Otylia wzrost wysoki, szerokie policzki, zgrabną linią z brodą złączone i twarz różową. Brakło jej wprawdzie u głowy skrzydeł czarnej kokardy, ale nie traciły na tem jej pyszne matowe włosy koloru dojrzałej pszenicy; włosy te były lekko na skroniach opuszczone i z tyłu głowy w wielki węzeł zwinięte. Brwi młodej dziewczyny były ciemne, rzęsy długie; oczy zaś miała jasne, a w nich spoczywała dusza zrównoważona, lecz namiętna i głęboka.

Po chwili przed panem Bastianem stała butelka pękata, czarna i dwa kieliszki ze szkła rżniętego. Gospodarz ujął butelkę jedną ręką, a drugą wyciągnął ostrożnie korek, pęczniejący jak łyko drzew na wiosnę. Jednocześnie zapach dojrzałych owoców rozchodził się po pokoju.

— Ta nalewka ma z pięćdziesiąt lat przynajmniej — zauważył, nalewając płyn w kieliszki.

Potem dodał poważnie:

— Janie Oberle, piję za twoje zdrowie!

Jan nic mu zaraz nie odpowiedział. W milczeniu wpatrywał się w Otylię, która oparta o kredens także się przyglądała towarzyszowi lat dziecinnych. Wreszcie wyrzekł dobitnie:

— Piję na cześć Alzacyi!

Po sposobie wypowiedzenia tych słów, po wyrazie oczu i ruchu ręki ktoś w tej sali poznał, że w duszy młodzieńca płonęła gorąca miłość dla Alzacyi.

Wysoka, piękna córka Bastianów stała nieruchoma na tle jasnego kredensu, ale w jej oczach zagorzał żywy blask, jak kiedy w słońcu faluje złote zboże. Nie odwróciła głowy, nie oderwała spojrzenia, tylko jej powieki opuściły się zwolna i zwarły w podzięce.

I nic więcej...

Pani Bastian nie podniosła nawet głowy, Otylia nie wyrzekła jednego słowa.

Jan skłonił się wszystkim i wyszedł.

Mer Alsheimu dogonił go na ganku.

— Odprowadzę cię do końca ogrodu — wyrzekł — dla nas, dla twego ojca lepiej, aby nas razem nie widziano.

— Jakież to stosunki teraz tu panują? — wybuchnął Jan. — Jakto? więc nie mogę bywać u pana, bo różnisz się w przekonaniach z moim ojcem; muszę pokryjomu dom pana opuszczać; a w nim spotyka mnie obraza — ciężka — niech mi pan wierzy!

Mówił tak głośno, że dosłyszeć go było można w domu, od którego dzieliło ich zaledwie kilka kroków. Bledszy był niż zazwyczaj, a wzruszenie ściągające mięśnie szczęk i szyi, nadało jego twarzy tragiczny wyraz.

Pan Bastian pociągnął go za sobą.

— Mam jeszcze inne powody, dla których chcę cię dalszą drogą odprowadzić, bo muszę ci wytłómaczyć...

Weszli na ścieżkę, wiodącą wzdłuż ogrodu warzywnego, która dalej ginęła w gaiku.

— Ty nie rozumiesz, chłopcze, — mówił pan Bastian pewnym, lecz łagodnym głosem — bo właściwie jeszcze wśród nas nie żyłeś. Nic się tu jednak nie zmieniło. To, co jest, trwa już lat trzydzieści.

Między drzewami ukazał się kawał płaszczyzny, zamkniętej w głębi siniejącemi Wogezami.

— Dawniej — ciągnął dalej pan Bastian, wskazując na krajobraz — naszą Alzacyę zamieszkiwała jedna rodzina. Znali się wielcy i mali i żyli z sobą w przyjaźni. Ja pochodzę z owych czasów. Na całym świecie tylko w jednej Alzacyi tak mało było pychy, a tak wiele prostoduszności; wiesz dobrze, że ja i teraz jednakowo postępuję z bogaczem strasburskim i z węglarzem z Wogezów. Ale co się stało, to się stało; oderwano nas od Francyi i ciemiężono, bo nie chcieliśmy dać słowa zgody; buntować się nie możemy, ani też wyzwolić z pod władzy rasy obcej, nie rozumiejącej ani naszego życia, ani ducha... Więc nie dopuszczamy do naszych ognisk Niemców i tych z pomiędzy nas, którzy z wrogiem trzymają...

Umilkł na chwilę, nie chcąc całej swej myśli wypowiedzieć, a potem dodał, ściskając rękę Jana:

— Gniewasz się na moją żonę, że cię tak źle przyjęła... Ale widzisz, tu nie chodzi ani o ciebie, ani o nią... Dopóki niema pewności, jakim ty jesteś istotnie, uważają cię za wychowańca Niemców, a ona uosabia kraj. Pomyśl tylko. Nie miej jej tego za złe. Wielu już odstąpiło od Alzacyi, wielu mężczyzn; najlepsi wchodzą w kompromisy i mniej lub więcej wyraźnie uznają pana. Ale nie kobiety nasze... Ach, Janie, ja sprzeciwiać im się nie mogę nawet wtedy, kiedy o ciebie chodzi, choć wierzaj mi, wiele mam dla ciebie życzliwości. Jeśli Alzatka źle cię przyjmie, niema w tem jeszcze tak wielkiej obrazy, bo one bronią kraju, one dalej wojnę prowadzą.

Starzec miał łzy w oczach zaczerwienionych, otoczonych zmarszczkami.

— Poznacie mnie później — rzekł Jan.

Doszli do krańca ogrodu, do furtki, równie jak pierwsza, zmurszałej. Pan Bastian otworzył ją, uścisnął rękę Jana i stał długo na miejscu, ścigając wzrokiem młodego człowieka, niknącego w oddali; ten szedł z głową wskutek wichru naprzód podaną. Jan poruszony był do głębi duszy. Czuł, że między nim a każdą rodziną w tym kraju stanie jego ojciec. I cierpiał nad tem, że urodził się w domu, do którego wracał. Jedyną słodyczą tego dnia był dla niego obraz Otylii z oczami, które zamykały się wolno, wolno...

ROZDZIAŁ V.

Towarzysze drogi.

Zima przeszkodziła panu Oberle prowadzić wykształcenie fachowe syna według pierwotnego planu. Warstwa śniegu, pokrywająca szczyty Wogezów choć niezbyt gruba, utrudniała jednak podróże. To też Wilhelm oprowadził tylko Jana po paru działach leśnych, leżących blizko Alsheimu, na ostatnich stokach Wogezów. Dalsze wyprawy odłożono do cieplejszej pory. Ale Jan nauczył się już wymierzyć bez omyłki jodłę, czy buk, oceniać drzewa według wysokości pnia do pierwszych gałęzi, wyglądu kory, znamionującej zdrowie rośliny, i według innych jeszcze oznak rozpoznawczych, rzec można, rodzajem jasnowidzenia, cechującym biegłych specyalistów. Ojciec wtajemniczył go w sposoby fabrykacyi, obznajmił z maszynami, uczył sporządzania kontraktów sprzedaży i przewozu według tradycyi, które od lat pięćdziesięciu w domu Oberle panowały.

Po za tem przedstawił go dwom urzędnikom administracyi leśnej w Strassburgu. Ci urzędnicy w uprzejmości swojej ofiarowali się wyłożyć ustnie Janowi nowe prawodawstwo leśne, o którem dotąd mało wiedział.

— Przyjdź pan do biura — zapraszał go młodszy z nich — a ja dam panu wskazówki pożyteczniejsze od tych, które znalazłby pan w książkach; bo prawo jest prawem, a administracya, to rzecz inna.

Tymczasem minęło kilka tygodni, zanim mógł udać się do miasta. Potem, w marcu, ociepliło się nagle i śniegi stopniały. W przeciągu tygodnia, wcześniej niż zazwyczaj, potoki nadmiernie zolbrzymiały, a wysokie szczyty, które dobrze widać było z Alsheimu, szczyty Wogezów po za górą świętej Otylii, usiane dotąd polanami i drogami białemi od śniegu, przywdziały letnie stroje z ciemnej i jasnej zieleni.

Nadeszła doskonała pora do wycieczek w okolice Alsheimu, takich właśnie, jakie pamiętał Jan z czasów dzieciństwa. W domu nie było wprawdzie wzorowej zgody rodzinnej, ale nie było już scen przykrych, podobnych do tej, która wybuchnęła nazajutrz po przyjeździe Jana. Dwa obozy śledziły się nawzajem, notowały słowa i czyny, które w danym wypadku posłużyć mogą jako argument, jako powód do wymówek lub dyskusyi; po zatem panował rodzaj zawieszenia broni. Różne przyczyny spowodowały taki stan rzeczy: pan Józef Oberle pragnął znaleźć uznanie w oczach syna; potrzebować miał wkrótce pomocy Jana, więc nie chciał występować zaczepnie; Lucynka nie mogła się dosyć nacieszyć obecnością brata, nie ustało w niej jeszcze zajęcie, z jakiem słuchała jego opowiadań o życiu studenckiem, o przygodach w podróży; pani Oberle pragnęła oszczędzić synowi wszelkich przykrości; lękała się, że zbyt jawne okazywanie rozdwojenia oddali go od domu rodzinnego. W rzeczywistości jednak nic się nie zmieniło. Przyszły tylko: wesołość powierzchowna, pozór zgody, przerwa w boju. To też Jan, choć odczuwał kruchość tego porozumienia serc i umysłów, cieszył się niem przecież, bo długie lata spędził w samotności duchowej.

Nie brakowało zresztą drobnych starć i kłopotów. Jan codziennie prawie przechodził przez wioskę. Alsheim rozkładał się wzdłuż trzech traktów, mających kształt wideł; rękojeść szła ku Wogezom, a dwa zęby przecinały płaszczyznę. Przy zbiegu tych trzech arteryi ruchu stała oberża „pod Bocianem,“ zajmując jeden róg placu kościelnego. Trochę dalej, przy drodze, po lewej stronie wioski, prowadzącej do Bernhardswailer, mieszkali robotnicy Niemcy, sprowadzeni przez pana Oberle. Zajmowali domki jednostajnej budowy; przed każdym z nich rozciągał się ogródek. Otóż, w każdej stronie Alsheimu Jan musiał wyczytać na twarzach i w ruchach jego mieszkańców sądy, które mogły się różnić treścią, ale były dlań jednakowo przykre. Niemcy i ich żony, ludzie więcej karni i giętcy od Alzatczyków, lękali się każdej władzy, nie szanując jej wcale; nienawiścią mieszkańców odsunięci od reszty wioski, czekali na dzień zemsty, który nadejść musi, gdy oni zapanują liczbą; nic ich zresztą z Alsheimem nie łączyło: ani pochodzenie, ani pokrewieństwo, ani religia; dla pana swego mogli żywić tylko niechęć lub obojętność źle skrywaną ukłonem mężczyzn i półuśmiechem kobiet.

(Ciąg dalszy nastąpi.)